

*S. W.*

SABALA.

W. D. C.

4



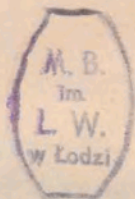
A. STOPKA

# SABAŁA

PORTRET  
ŻYCIORYS  
BAJKI  
POWIASTKI  
PIOSNKI  
MELODYE.

KRAKÓW  
L. ZWOLIŃSKI I SPÓŁKA  
1897.

tabl. 1.



388.2/438)

Wielmeżnemu Panu

Profeserowi Janowi Czubkewi

w dewéd wdzięczności i szacunku

poświęca

Uczeń.

I')

Wszakże zawsze tej pieśni słuchamy najchętniej,  
Która w sercu słuchacza czemś nowem odtętni.

(Homer, Odysea, I księga).

§ Szczępłe wiadomości o życiu pasterskiem, gospodarskiem, myśliwskim i zbójcekiem u ludu podtatrzańskiego, nikną coraz bardziej. Idą w zapomnienie różne piękne podania, baśnie i legendy, które jeszcze niedawno tak żywo zajmowały Podhalań.

Wprawdzie i dziś jeszcze od czasu do czasu odezwie się ta dawna chęć słuchania i opowiadania sobie nawzajem baśni »jako drzewień bywało«,  
chodzą się górale i gwarzą, ale zwyczaj ten zachował się tylko w niektórych wsiach Podhala.

\*) Wszelkich objaśnień co do znaczenia wyrazów gwarowych szukaj na końcu.

à czytaj jak o

ý » » dńgie i

é » » gńbokie y.

W Zakopanem, w Kościelisku i w Poroninie nie masz go prawie. We wsiach więcej odległych od Zakopanego zakonserwowały się jeszcze dawne zwyczaje, za które mieszkańcy tych wsi zyskali sobie u Zakopianów pogardliwą nazwę »wsiaków«.

Było jednak pod Tatrami jak i na całym Podhalu inaczej.

Wszak młodzi pamiętają jeszcze te zimowe wieczory, kiedy schodziliśmy się na tak zwane »prządki«. Kobiety snuły lniane nici, a my czytaliśmy różne piękne powiastki. Płakaliśmy nad nieszczęśliwym życiem Genowefy i oburzaliśmy się na okrutnego Gola, to znów Jasiak Hotarski, lub inni opowiadali dziwnie na młodą wyobraźnię działające powiastki o zaklętych w granity królewicach, o dziadulach śpiących w środku turni, czarownicach i czarownikach, o grotach i pieczarach, któremi można było na wylot przejść ziemię i w ten sposób wyemigrować tanim sposobem do Ameryki.

Smoki strzegące tej drogi i kości ludzkie, rozrzucone po zjedzeniu ciała na cztery strony świata, ukazywały się nam młodszym we śnie i napawały strachem.

Zwyczaj »schodzenia się na prządki« był rozpowszechniony na całym Podhalu, a więc w Zakopanem i w Kościelisku.

Niestety, jakże dziś inaczej! Obecnie gorączka

wzbogacenia niweczy tu wszelkie duchowe życie. Całą uwagę zajęła dziś budowa domów, przyswajanie sobie pańskich manier, co chyba u Zakopianów doszło do punktu kulminacyjnego.

Nie wiedzą oni widocznie, czy wiedzieć nie chcą, że te cechy, tak ich od reszty ludu wyróżniające, sprawiły, iż w ostatnich czasach zainteresowano się tak góralami, jakoteż ich przeszłością.

Trzeba przyznać, że możeby tego nie było, gdyby do tego nie pomagała w wysokim stopniu sympatya do cudownych okolic, które zamieszkują.

Zachwycony cudnymi widokami turysta identyfikuje skały, lasy, hale z ludźmi pośród nich mieszkającymi, a nawet i zwierzętami, boć one do pewnego stopnia tworzą rzeczywiście jedno, jeden widok.

Czyż można sobie wyobrazić ruń hali bez tych białych, śnieżnych owieczek, bez turlikania ich dzwonków, bez śpiewu, wyskania i gry na fujarce wesołego juhasa?

Czego się nie używa, śniedzieje i niszczeje. Tak niszczały podania tatrzańsko-zbójckie, zanim skryształizowały pod piórem skrzętnego i umiejętnego badacza.

Krwawe one były, to prawda, ale podmiotywej istoty zbrodni w nich nie było. Zbójowano w dobrej myśli, a zbójctwo dawne nie uchodzi

jeszcze dziś wśród ludu za coś zdrowego; owszem było w niem i jest coś bohaterskiego, dobrego, »bo choć bogaty stracił, ale biednemu wse coś kapło«.

Zyły zatem w ustach ludu krwawe i śmiałe napady na dwory okrutnych panów, sołtysów, to wreszcie na bogatych żydków handlarzy, zamieszkujących liptowskie i węgierskie równie.

Rosły i pomnażały się podania o budowie kościołów przez zbójników, o zdobieniu ich ołtarzami i obrazami świętych — które pokradziono w innych kościołach.

— Bogu ta o to — mówiono — nie markotno o zbójctwo, ale cobyś się ś nim, jak ci się udą, podzielił, a dawał mu okwiare nie na ostatku, ino wse z końca.

Bogate w przygody życie bohatera, zbójnika Janosika, o którym dawniej krążyło wiele wiadomości, znane jest dzisiaj w nader skąpych szczegółach.

Gadaje i Bliźniaki, co zbójowali, nie chcą dać umrzeć z głodu swym starym, ukochanym rodzicom, pomarli razem ze swem zbójcekiem rzemiosłem, tak, że dziś tylko opinia ma ich za »honornych hłopów«, zjednując dla ich potomków mimowolny szacunek.

Stary Wojdyła i Fatla kuli, jak wieść niesie, ciupaki, piki, noże zbójcekie i inną broń, kuli ko-

nie złotemi podkowami, ale dla kogo, tego dokładnie dziś nikt nie pamięta.

Oblawy kłusownicze na niedźwiedzie, dziki, rysie i wilki przemieniły się w daleko mniej sportowne, ale zyskowniejsze polowania na bogatych gości.

Bzdurstwem nazywają dziś Zakopianie przygody nieszczęśliwego w miłości, a tak pięknego Janika, o którym do dziś dnia tyle piosnek śpiewają góralki.

Przestały zajmować opowiadania o okrutnych czynach mściwego Marduły, lub o miłości awanturnicy Kacki, kochanki śmiałego Matei, o bogato rzeźbionej, wystawionej dla niej pod regłami chałupie, o darach bogatych, którymi ją obsypywał i wreszcie o tragicznym końcu jej zalotników, ginących jeden po drugim z ręki straszego Odyseusza-Matei.

Konserwatorów góralskiej mody było dawniej wśród górali więcej. Nosili oni do niedawna spodnie »ze ząscypkom«, cuhy bez oblanki, kapelusze »wymascony«, a »ubuwali się po wierhu«.

Cały ten strój był im tak własny, że nie było w nim nawet nitki cudzej roboty. Wszystko było albo własnego — domowego wyrobu, albo w każdym razie Podhala.

Z tych ludzi, ubierających się po staroświecku pamiętam: Michałka, Michnę i Skwarka.



Z opowiadań pamiętam tylko Skwarkowe, które przy sposobności na innym miejscu przytoczę i objaśnię.

Z rozognioną twarzą i skrzącemi się oczyma, prawił on pasterzom krów na Groniku dziwi o czarownikach, co wodę w Pisanej, gdy chcieli, odwrócili ku Bystrej, o czarownicach, będących egipską plagą przy chodowli krów, lub wreszcie o mnogich skarbach w górach i lasach, co się świecą i suszą podczas cichej, letniej nocy.

Objasniał słuchaczom dokładnie, jak zapomocą święconej laski, zwanej »kulmagą« można zaznaczyć w nocy to miejsce, by później we dnie o pieniądze trafić. »Kieby wto był godny«.

Wygrzebywał z popiołów przeszłości i odtwarzał nam w bogatej swej wyobraźni baców i juhasów — »co mieli telo psów ino, co teraz największy baca owiec«.

Dla ludoznawstwa strata to wielka i niepowetowana niczem, że nie znalazł się ktoś o kilkadziesiąt lat pierwej, któryby zajął się spisaniem zwyczajów i obyczajów, pieśni i opowiadań ludowych.

Tatrami się zajmowano, ludem w nich mieszkającym aż do Dembowskiego, Matlakowskiego i St. Witkiewicza\*) nic prawie.

\*) Znakomito dzieło St. Witkiewicza p. t. »Na przełęczy« zawiera nader trafną charakterystykę ludu góralskiego i wiele wiadomości o Sabale, których tu już nie powtarzam.

Nie można się temu zresztą dziwić.

Łatwiej bowiem było podziwiać, opisywać, opiewać lub malować niebotyczne szczyty, bijące w oczy blaskiem zwierciadła jezior, niż odszukać starych górali, co zagrzebali się w kurnych izbach i w wielkim zaduchu mieszkali między cielętami i jagniętami.

Tam trzeba było szukać zgrzybiałych starszków, co grzejąc się przy ogniu na nalepie, lub posuwając po izbie przy pomocy stołeczka, już dawno progę izby nie przestąpili.

Byliby ożyli, gdyby ich kto był zapytał: »Jak to drzewień bywało«. Byliby opowiedzieli naiwnie wszystko, co widzieli, słyszeli, lub przeżyli.

Niestety — nie uczyniono tego.

Dziś pozostaje tylko nader oględne i sprytne cofanie się w owe dawne czasy, gubienie się w domysłach i wnioskach. Gdy zaś przyjdzie coś spisać, trudno odróżnić, pomimo największej ostrożności to, co jest ówczesne, rodzime, od naleciałości późniejszych i świeżego wymysłu.

I te badania, choćby były poczynione z wielką zręcznością, odtworzyć owego dawnego, tak charakterystycznego życia góralskiego stanowczo nie potrafią.

Pozostanie ono zawsze fotografią gór na księżycu położonych, a będzie to tylko terazniejszość, lub niedawna przeszłość z większym, lub mniejszym pozorem dawności.



## II.

Najzdolniejszym i najgorliwszym wśród wyżej wspomnianych zachowawców góralskości, w których ona — jak rzekłem — niejako skrytalizowała, był Jan Krzeptowski, zwany powszechnie S a b a ł ą. — Ojciec jego, Jan, nazywał się Gąsienica.

W jaki sposób Jan i brat jego Andrzej zmienili sobie nazwisko na Krzeptowski, trudno wiedzieć. Uczynili to nie za zezwoleniem namiestnictwa.

Janowi było jeszcze mało tego nazwiska i dla lepszego określenia osoby, a może i dla możności występywania pod kilkoma, przybrał przydomek Sabala. Nie jednokrotnie nazywał się też Sablikiem.

Lecz i on, choć tak ceniony, modny w swoim czasie, rozrywany na przewodnika w góry, nie został należycie oceniony, zwłaszcza przez swoich.

Zabłysnął tylko na krótko gościom swoją

oryginalnością, jak płomyk hawiarzkiego kaganka, chwilowo jaśniej, by na zawsze zagasnąć.

Urodził się w roku 1809 dnia 26 stycznia. Był to typ górala tatrzańkiego hartu tak silnego, upartego i odpornego, że nań nowsze czasy, inne prądy nie miały żadnego wpływu.

Każdy przyzna, kto się z ludem góralskim bliżej stykał, że nawet mniej niż przeciętnego górala nie można porównać z ciężkim chłopem równin. Nie jego to wprawdzie zasługa, że jest takim zgrabnym, silnym, zwinnym i wytrzymałym, ale przyczyny tego wypadu szukać w większej części w naturze dzikiej i okrutnej — która go otacza.

Życie każdego górala obfituje w tyle przygód, niejednokrotnie tak tragicznych — a czasem bez punktu wyjścia. Przebiegłością tedy i wytrzymałością potrafi coś »konać« i czegoś dokonać. Uczy się jej więc od dzieciństwa.

Życie to chłodne, głodne, ale nigdy nie nudne. Zabarwione nieraz dzikimi czynami, krwawymi zająciami, posiada swoją odrębną romantyczność, podobnie jak okolica, w której zrodzon jakimś cudem się chowa i z głodu nie ginie, jak dzika melodya świstu zimnych z ciepłymi mięszających się wiatrów, nucących mu od dzieciństwa do snu dziką piosenkę na szpilkach smereków, limb i sosen.

Człowiek, który patrzył od dzieciństwa na cudny, a co dzień inny zachód słońca, co pierwsze dziecięcy kroki stawiał po ścieżynie tak zwodniczej, stromo i swawolnie się wijącej, co widzi tyle postaci koło siebie zaklętych w granity, wierzy, że to są ludzie lub zwierzęta skamieniałe za karę, co słyszy tyle baśni o nich, wyszeptanych mu do ucha przez szemrzące po dolinach potoki — taki człowiek nie może sobie upodobać życia tak monotonnego, jakie daje chodzenie koło gospodarstwa, lub włóczenie się tam i na powrót za pługiem. On musi i ma w sobie coś poetycznego. Musi swoją siłę, która go pcha przemocą w życie, w inny sposób zużytkować i, jak potok górski, rozbić się w tysiące kropeł w kaskadzie, by później zespoliwszy się, znowu swoją pierwotną siłę odzyskać i dźwigać olbrzymie granity, obracać młyńskie koła, podnosić ciężkie foluszów młoty.

Nic więc dziwnego w tem, że górale tak rwali się do rzemiosła zbójckiego, myśliwskiego lub pastersko-hulaszczego.

Sabała zbójował, to fakt. Przyznawał się do tego sam, ale tylko przed tymi, o których był przekonany, że nie będą nań spoglądać jak na prostego zbrodniarza, ale zrozumią, usprawiedliwią, boć iść na zbój nie znaczyło iść na rozbój i zabijało się tylko wtedy, gdy nie było innego

punktu wyjścia, więc nie rozmyślnie. — Świadczą o tem nadto powiastki i piosnki.

— Za młoduk wydziwił i wyrządził ludziom, bo kie na mnie przysły psie lata, tok doma wytrzymać ni móg nijakim świecie — opowiadał nieraz.

Od tych, co z nim »towarzysowali« nie można się nic dowiedzieć, bo Sabała wszystkich przeżył. Tyle tylko zdołam o nim przytoczyć, com albo sam od niego słyszał, lub za jego opowiadaniem spisałem, albo też zebrać zdołałem od krewnych jego i znajomych.

Zaznaczył mi się w pamięci dość wcześnie. Wtedy już był dobrze posiwiatym, choć utrzymywał, że byłby nigdy nie siwił, gdyby nie wypadek z ogniem, który mu włosy popalił.

Starość przykrzywiła jego wyniosłą i imponującą kiedyś postawę, porobiła na policzkach doliny, a czoło porała bruzdami. Z latami tępiął też umysł i bystrość jego, zwłaszcza po śmierci Dra Chałubińskiego.

Sympatyzował zawsze i rad przestawał z młodzieżą, wśród której młodniał jego umysł i fantazyja. Zajmował się myśliwstwem, brał udział we wszystkich wyprawach myśliwskich, jako znakomity strzelec, ale chętniej przedsiębrał takowe ukradkiem sam, albo tylko z bliskimi przyjaciółmi.

Młodych i drobnych zwierząt nie strzelał,

chyba żeby mu wpadło do głowy jakiegoś capa lub kozę żywcem chwycić.

— Bo to — prosem pięknie — dźwierz jak młody to strasznie piękny; toz to ukwaliliśmy, cýby go jako żywego nie hycić.

— Pastérzem — mówił — tobyk nie był za nic, bo to je życie wesole — haj — ale biédne — haj.

— Ino zýntyce hlipaj, co brzuk zdołi, a ino wyńdzies ze sałasu, to znowa jédz i pij — haj. Bo ci zaroz cosi kajsi po brzuku jeździ.

Śp. ks. Stolarczyk, pierwszy proboszcz w Zakopanem, opowiadał, że gdy pierwszy raz zobaczył Sabałę, bardzo mu się spodobał. Mówił, że Sabała jest wielkiem dziełem Boga, ale szkoda, że nieskończonem.

Ciekawe też było ich powitanie. — Sabała widząc olbrzymiej postaci męża, ze zdziwieniem wykrzyknął:

— Ej — psia krew, jegomość! Wyros téz s wás hłop. — Ej, ha! Je kaz tez ta teli wyros. No s wami to byk sie nie namysłł, ale byk sie dziś we dwok do Luptowa ponios.

Polowacką zajmował się Krzeptowski, jak już wspomniałem, w bardzo wczesnej młodości. Czynił to jednak ukradkiem przed ojcem, który mu na to nie pozwalał »bo mu wej było zozrość, ze sam był stary i juz ni móg«.

Później dorósłszy, opuszczał chałupę, a wóczył się po górach i lasach. Nieraz trzeba było długo łazić, zastrzegać się, by coś upolować. On się jednak nigdy nie zrażał niepowodzeniem.

Wolał bowiem wóczyć się po reglach i halach, bić się z Liptakami o zwierzynę, niż siedzieć w domu. Mówił:

— Wolałek Luptakowi trzy razy dać w gębę jak sobie róz co włożyć. Ja łakomy nigdy nie był.

Polowacka to też jego ulubiony temat do opowiadania i zdaje się, żeby mu się nigdy nie wyczerpał.

— Kie my przysli na Orawe — toz tok posłakował niedźwiedzia i zabiłtek go. — No i dobrze nie barzo — obłupiłtek go — haj — i upiók co zwiększa. — Jaze przylatuje ku mnie taką wartką liska. Straśnie była pokorną, ogon trzymała między nogami — haj. — Ni mogek sie jej obegnać, a strzelać sie do niej nie oplaciło, bo była młoda i bytyk se dzwierzca postrahał — haj. — Jazek sie dlugo nie namyslał. Myśliwskie prawo krótkie. Łapiłtek jedne pieconke, co okapowała na patyku i prasnok jej to. Łap i poleciała.

Innym razem nie służyło szczęście, a było ich kilku. Rozłożyli się pod grubym świerkiem »na nocnik« i rozpalili wałę. Gdy wiatr się w nocy zerwał, zabrał drobne węgle z ogniska i wyspał we włosy najbliższej spiącemu Sabale.

— Tok sie zerwał co thu i krzycem: Hej, chłopcy! wstańcie, bo gore. — Otrzepowatek sie strasnie ręcami — haj — tozto mi pomogło. Zgasitek. Ono mi pomogło sprawnie. Alek se ucho otrzefon, ino ze nie przy kości z krzęściom, toz to mi pote odrosło.

— Ba, kudły, to mi sie tak popsnily, co mi hetki osiwiwały pote, zaconek sie lenić — haj.

Coby te niebościki — mówił kiedy indziej o niedźwiedziach — stanyny, cok ik wybił, toby hetki w Zakopanem i w Kościelisku sicło pojady i ludziby sie pote hycily.

I zaczął zaraz wyliczać całą ich litanię i miejsce, gdzie każdego z nich zobaczył, jako zacuwały, jak podszedł i jak strzelił.

W Mięszowieckich turniach był mądry niedźwiedź, na którego stary myśliwy miał »pewne oko«.

— Był strasnie mądry — haj. To się trafi, prosem pięknie, taki dzwierz, co, prosem pięknie, i ctek rozumu telo ni ma. Straśnie je smysny.

Niedźwiedź mylił, ale Sabała dlugo chodził za nim, podchodził go i wreszcie zabil. Już się cieszył, że pasterze będą radzi, że ich od szkodnika uwolnił, kiedy za strzałem nadbiegli Liptacy i byli już tak blisko, że widzieli Sabałę prującego i pitwającego niedźwiedzia. On jednak nie stracił przytomności umysłu, choć nieprzyjaciół było

trzech, a on był sam. Spuścił kamień i tak ich nim obydwóch poczęstował, że im się już drapać »nie wypadało i nie kciało — bo mieli swojego mięsa dość«.

Innym razem postrzelił capa i ten uciekł mu między woły Liptaka, bo to było na węgierskiej stronie. Sabała zdjął skromnie kapelusze i począł prosić pokornie, kłaniając się Liptakowi, żeby mu pozwolił capa zabrać, bo cap jego.

Liptak zaś, rozśmieszony pokorną postawą Krzeptowskiego, tem pewniej obstawał przy swoim i twierdził, że choć Sabała postrzelił kozła, ale on się później zmieszał z wołami jego, więc też do niego należy.

Widząc, że z nim dobrocią nie poradzi, odszedł Krzeptowski na pięćdziesiąt kroków, nasypał niepostrzeżenie do strzelby piasku, bo była tylko lotkami nabita i strzelił do Liptaka tak nieszczerliwie, choć utrzymywał, że w nogi mierzył, iż »oko i stéry zęby dyascy wzięni«.

Później spotkali się jeszcze. Liptak poznał jednym okiem Sabałę, ale on mu udowodnił, że nigdy jeszcze nie strzelał i nawet nie wie, jak się strzelbę trzyma przy zębach.

Jak już wspominałem, chodził na polowanie zazwyczaj sam. Niejednokrotnie atoli brał także i młodszych ze sobą, by się uczyli, jak się zwierzca podchodzi. Uczył bardzo niechętnie, sądząc,

że z przypatrywania każdy się może wszystkiego nauczyć.

Raz, będąc jeszcze podrostkiem, strzelałem pół dnia do wiewiórki i nie mogłem jej zabić.

Nadszedł Sabała. Prosiłem go, by mi wskazał, jak się celuje. On rzekł:

— Naprzód trza podróść, coby strzelbinę utrzymać w garzci i léko jom ku zębom przyłożyć, a pote to ona ta samo przyńdzie, ino coby miec oko dobre, i ręke pewnom i miernom. Ją sąm nie wiem, jakoto trza. Ino oko mām mierne, toz to vse trafiem.

Gdyśmy go pytali, jakiego systemu strzelby używał, mówił:

— Mnie ta, prosem pięknie ik miłości, kazda do zukwy sie zdała. Ino dubeltówka vse lepsa. Wy ta macie — pada — takie, co telo razy strzelajom, hocij rāz nabijes.

— He! kieby jā jom miał, to sýtkie bydłeta moje — haj. — Alek rāz poseł i strzeliétek. Miłońskich biéda zjadła — haj — aj zjadła — haj. Hybiétek. Miātek pojedyнке — wyniozek sie na smreka. On mi sie przypatruje ze spodku, a jā siedzem ciho — inoze dyhom.

Stanon na łapak, ale mie dostać ni móg — haj. — Jazek tak to, mościwko panku, wysiedziāł. Wytrzymāła mie wereda dūgo, nie krótko, a ręce mi cýsto pięknie zglegwiāły, co strak — haj.

On sie zaś poseł paść na borówki. Poseł nizej, a sýćko sie na mnie boke jednem oke przy-  
patrował.

Jà sie zaś zacon wysýj styrbać, cýby jakosi sie cego lepszego nie hycić. Siądek na gałęź, ale sie zlamala. Była słabà. Toż to — dobrze nie barzo — zjehalek na ziem — haj.

Jà w uciekaca. On za mnom. Jazek lewdy dopad bucka dość hrubego i wylàzek, nie wiele myślący, na niego, na gałąź — haj. — Bytek ślebodny, bo buk był hruby. Ino ze mi cosi kajsi po brzuku strasznie jezdziło, bok długo siedziãł, a jedzenia ni miãtek. Było ostawione przy smreku.

Kieby mi miał wto flinte podać ze spodka, to onoby ta było sýćko dobrze, bok prok i kapsliki w tórbce miał. Ale nika nic — haj. — W Ornaku mi sie vse nie scęścięto — haj. — Nie scęścięto mi sie. O nie.

Innym razem znowu opowiadał następującą myśliwską przygodę:

— Ráz jà i Marduła nieboścýk pošlimy lémze świt, jak ino śniég zeseł do Luptowa. Rzekomo na serdãki.

No i dobrze nie barzo zmarzlimy tęgò, bo to było co ino po zimie, na wiesne było. — Zmarzlimy setnie — haj.

Co jà nie robiem, oszozytek wieldzażnom watre, cýby sie nie przygrzãć co przy niej — haj.

Marduła sie téz wyciongnon przy watrze — Przy watrze sie dobrze spi. — Kosulsko mu sie opãliło, ale spãł tęgò — haj.

Kie sie tak cýsto, piéknie zespãł, jà tym case hybãj. Marduła nie był taki zawięty na dźwierzyne, jako jà.

I co jà nie uradził — zostawilek go tak, a jà tymcase polecialek z flinteckom — haj.

I tak mi sie jakosi trafięto, ze inozek sie obezrãł — widzem małom świnke.

E, myślem se, bedzie tu kajsi i duzà, bo kazby sie mali brali, kieby duzyk nie było — haj. Ale jej jesce nie widzem. Miãtek sie juz na ostro-  
żności, coby mie ze zadku nie przywitala, ino z przodku — po honorowemu — haj. Patrzem, cý kapsliki mam.

Sýćko było w porzãdku, ino jesce nie było do kogo strzelić.

Z tom małom biedom, to mi sie nie optacięto babrac, — haj, bo to szkoda.

I co sie nie stało — stojem tak, jak na trzy stajania, a tu widzem usýska i ryło.

Sjonek kapelus z głowy i prasnon, coby mi — prosem piéknie — nie zawadzãł. Ona hudobina myślała, ze jà sie śniom witãm i lezie ku mnie, lezie pomału, bo juz była drugi rãz prošnã.

Jaze jà hyc za bucka. Skrytek sie, przymie-

rzyłek i beu w nie — haj. — Strzełitek. — Zaczęna tońcýć, ale se pote spocyna.

A já wyjon nóz pilno. Urznonek jedne tydke. Przyniosek ku watrze i upiók.

Dobrze nie barzo, jém i oblizujem sie i skwar-kik juz skwarzył, toz tok pilno włożył do ognia skale, co by sie ozpáliła. Wyjonek jom cérwonom i włożył do wody, cok jom do dolinki na skale nalął. Nasutek mąki i była i klóska. Uwarzył jom.

Kiek tak sýćko dobrze, sýćko piéknie poro-bieł, zaconek juz jeść. Jaz Mardule zapáchło po-pod nos i obudził sie. Myślał, zek kany świni ukrád. Nie kciął mi nijakim światie wierzyć, co byk jam tak pilno upolować miał — haj.

Já mu sie sumiétujém — a on nic.

No juści — jak cłek śpi, to mu wrona do garła nie wpadnie, chociaj by ta sérzěj otworzył hubku, jak wrota. — haj.

Zabralimy to, pote do casu Bozego mieli-my na kwilke co jeść. Było cým brzuch omaścić. — haj. Zratowalimy sie dość godnie.

Przegrał jakąś staroświecką, orawską melodyę  
(Melodya Nr. 1)

i tak mówił dalej:

— Kiek se set dalej po pod regle, tok se śpiwał, co jaze gielcało:

(Melodya Nr. 2)

Oj, jesceć mie matusia,  
Oj, w korytku lulała;  
Wtedy juz nad mojom  
Skórom narzékala.



Oj, Sablicek zbójnicek,  
Oj, siékiérecka siostra.  
Nie jedna dusýcka  
Przez niom w niebo posta.

Oj, łapali Sabale,  
Oj, po zielonyk bukak,  
Ale sa wybroniéł,  
Miał siékiérke w rukak.

197255

Oj, pedziała mi ziéna,  
Oj, ze to moja wina,  
Jeze mnie złapali,  
Na wysokiej hali.

Oj, dyc se mnie dostali,  
Oj, hociaj z tak wysoka,  
Bo po mnie postali  
Z pikom zabijaka.

Oj, na zboj hłopcý, na zbój,  
Oj, wto sie w noski cuje,



A wto sie nie cuje,  
Niehaj nie próguje.

Oj, krakały hawrany,  
Oj na wiérsku nad nami,  
My se ik nie bali,  
Baranki rezali.

Oj, na Orawskim zámku, \*)  
Oj świecom siubienicki,  
Wtoza budzie wisiãt?  
Janko z Brzezawicki.

Oj, kieby ja se wiedziãt,  
Oj, kany bedem wisiãt,  
Od wiérhu do dołu  
Piékniehyk wybić dãt.

Oj, z wiérhu dukãtami,  
Oj, z dołu talarkami,  
Na pośrodku śrëbtem,  
Pok se hłopcem dobrym.

albo :

Na pośrodku zlatu kawku.  
Tam położem moju hlawku.

\*) Zamek na Orawie służył dawniej za więzienie dla zbójników. Bliższe szczegóły, tyżące się historii tego zamku, zobacz w Pamiętniku Tow. Tatrzań. za rok 1887.

Oj, na Orawskim zámku,  
Oj, zbyrcý troje zelãz,  
Uwazujze hłopce,  
Cobyś do nik nie włãz.

Oj, przy tój polskiej stronie,  
Oj, Pan Bóg nam daj zdrowie,  
Przy węgierskiej ceście,  
Pan Bóg nam daj szczęście.

Oj, Polãcý, Polãcý,  
Oj, sýčka my jednãcý,  
Telozby nas miãta  
Jedna starã maci.

Oj, matyćko miãta,  
Oj, cemuś mnie nie biãta,  
Jak ja budem wisiãt,  
Budzies sa hańbiãta.

Oj, tatusiu, tatusiu,  
Oj, gołãbecku siwy,  
Potelaz nam dobrze,  
Pokielaś nam zýwy.

Oj, góry nase, góry,  
Oj, to nase kumory.  
Oj, bukowe listECKi  
Nase podusecki.

Oj, góry nase, góry,  
Oj, hãle, nase hãle,  
Wto wàs znà tak dobrze,  
Jako my górale.

Oj, góry nase, góry,  
Wy wysokie scýty,  
Wto wàs przewędrował,  
Oj, góral rodowity.

Oj, Krzywaniu, Krzywaniu!  
Oj, coeś tak osowiãł?  
Cý cie dyscýk polãł,  
Cý cie wiãtrek owiãł?

Oj, Krzywaniu, Krzywaniu,  
Oj, coś taki pękaty?  
Cý cie ozpucýły  
Zbójeckie dukãty.

Oj, Janosik, Janosik!  
Oj, kaś podział paśasik?  
Na wysokiej horze  
Zacięty w jaworze.

Chełpiąc się ze swych przewag nad Liptakami, śpiewał:

Oj, cemuz wy Liptacy,  
Oj, z Polskiej uciekãcie?

Sablik juz pozdrowiãł,  
To się go boicie.

Podobno go dobrze pokłóto nożami, bo długo nie mógł się z ran wylizać. O tem jednak nic nie wspominał, widocznie się wstydził. Gdy atoli wyzdrowiał, sam strach przed jego imieniem pędził Liptaków do swej Liptowskiej doliny.

Nie jedną myśl i czyn chował przed ludźmi, śpiewając:

Oj, Sabała zaśpiewał,  
Oj, Krzywań mu odpedziãł,  
Bo o jego sprawie  
Nik inny nie wiedziãł.

Gdy mu się już sprzykrzyło granie i śpiewanie, wodził oczyma po obecnych przy nim. Kreślił rękami i słowami tło do obrazu, który miał słuchaczom przedstawić.

Później jednak podjął napowrót złożony na podstawie strun smyczek, popróbowwał strun i począł grać znowu w szybszem tempie. Smagał struny nielitościwie, przyśpiewując sobie:

[Melodya Nr. 3]

Starej babie przy boku  
Leżał djaboł w potoku,  
Nie wiem cý spał,

Cý téz drzymał  
Ale leżał przy boku.

Oj, Swinica, Swinica  
Na Swinicy śnieżnica.  
A tam śtyrbnom drożynom  
Idzie Jukas z dziewcynom.

Konie jadom, konie stojom,  
Nie bedzies ty Maryś mojom,  
Ani mojom, ani cýjom,  
Ani księżom gospodyniom.

Góry nase, hory som,  
Popod góry bucki som,  
A po buckach listeckí,  
A przy buckach dzieweckí.

Lub znowu:

(Melodya Nr. 4)

Albo poważną, przerobioną przez siebie:

(Melodya Nr. 5)

Niek sa napijom; (každy wiersz bis)  
Ty dodaj prahu;  
Budom w bani škále mamać,  
Śrebito, złato dobywać.

Sabała nienawdził Liptaków, ale stykając

się z nimi bardzo często, przyswoił sobie wiele ich wyrazów, piosnek, a nawet góralskie prze-rabiał na liptowskie. Językiem słowackim rad się popisywał, co jest bardzo ciekawe. Widocznie imponowali mu siłą i odwagą.

Kiedy zaś który z górali zaśpiewał jego nutę, zwaną »Sabałowską«, zrywał się stary do tańca.

Oczy zwykle zamglone nabierały ognia, a po-deszły wiek przestawał mu ciężyć i suwał kыр-cami lekko po murawie lub piasku, jak młodzian.



## III.

Kusownictwo zostało później surowo zakazane. Młodzi myśliwi z Sabałą na czele musieli się z niem ukrywać. Znalazł się jednak i na to sposób. Pokryli oni pod ubranie kawałki rozebranych strzelb i rozbiegali się po lasach i halach, by się na umówionem miejscu o umówionym czasie stawić.

Tam poskładali strzelby i swobodnie strzelali do niedźwiedzi i sarn, lub też kopali świstaki.

Ustało i to wkrótce, bo strażnikami byli ludzie energiczni, pilni, dochodzenie bardzo dokładne, a kara dość surowa.

Teraz jednak zjawia się w Zakopanem człowiek, któremu po większej części Zakopane winno ugruntowanie powyższych zarządzeń i wielu innych.

Nie tylko Zakopane obsypywał on hojnie, ale całe Podhale znało jego szlachetne serce.

Był to śp. profesor Dr. Tytus Chałubiński.

Wiedzieliśmy, co nam przynosił i jak go uczyć, gdyśmy się zbierali na góralskich koniakach i w uroczystym pochodzie wprowadzali go do wsi.

Wiedzieliśmy, czem był dla nas, gdyśmy go zwali »Królem tatrzańskim«, ale zapomnieliśmy o jego dobrodziejstwach tak, jak wszyscy ludzie. Widać nie byliśmy ich godni.

Wstydić się winniśmy, że prócz skromnego granitu na grobie, nasz »Król tatrzański« nic więcej nie posiada.

Czyż nazwaniem jego imieniem ulicy, lub jakiejś skały, możemy się mu wywdzięczyc za tyle dobrodziejstw, któremi prawie zasypywał wieś naszą i okolicę?

Któż nie wie, że to jego zasługa, iż Zakopane jest tem, czem jest.

A któż z mieszkańców podhalańskich nie doświadczył osobiście jego niewyczerpanej dobroci, czy to podczas choroby, czy innego nieszczęścia!

Niech sobie Zakopianie przypomną, lub każą przypomnieć czasy panowania straszliwej cholery. Wszędzie nastąpiło wyludnienie. U nas, dzięki jemu, obeszło się bez wielkich strat.

Czyż jabym tylko miał pamiętać, jak wszyscy uciekali od zarażonych, tak, że ten mąż musiał sam, oprócz udzielania opieki lekarskiej, chodzić dla chorych do źródła z garnuszkiem po wodę?

Nie moje zadanie, ni w mocy jestem określić zasługi i ogrom wiedzy tego wielkiego człowieka, filantropa.

Powinien to był już uczynić ktoś więcej znający tajniki jego duszy, życie i prace poza Zakopanem i wiadomości te rozrzucić na Podhalu, aby wszyscy górale znali go lepiej i niezapominali, ale jego piękne czyny w podanie ująwszy, żywili pamięć o nim przez najdłuższe lata.

Ja wspomnę o nim tylko przy sposobności i to tylko pewne rysy jego szlachetnej, artystycznej duszy, o ile one są w związku z życiem Sabały.

Owóż kiedy Chałubiński przybył latem do Zakopanego, wnet swoim znawczem okiem wybrał Krzeptowskiego za swego przewodnika, choć miał wielu innych, równie jak on, obeznanych z pyrcami w górach.

Wybrał jednak jego, uczynił go swoją nianką i na pieczołowitości starego, doświadczonego przewodnika nie zawiódł się nigdy.

Nie uważał go jednak tak, jak tylu turystów uważa przewodnika za tragarza, człowieka, któremu być posłusznym jest dla nich ubliżeniem. Nie. On wiedział dobrze, że w ręku przewodnika spoczywa jego zdrowie, całość czaszki.

Dlatego też stosownie go ceniąc, uwzględniał jego wiek podeszły i wielkie przywiązanie.

Teraz dopiero występuje Sablik na widownię poważnej i rzeczywiście pożytecznej, zaszczytnej, a mającej obszerniejsze znaczenie, pracy.

Znał każdą kryjówkę, każdy szczyt, każdą przełęcz i grzbiet górski, każdą pyrc i mógł się po niej swobodnie poruszać, choćby gęsta mgła zasiadła całe przestrzenie.

Tę tak dokładną znajomość gór, nabytą podczas długoletniego kłusownictwa, wyzyskał teraz, by pokazać znakomitemu znawcy wszystkie skarby precudnych widoków.

Śmiało można powiedzieć, że Chałubiński odkrył Zakopane dla Polaków, a nawet dla całego świata, ale tem śmieiej twierdzić można, że Sabała odkrył piękność Tatr dla Chałubińskiego.

Bez niego na takich wycieczkach, jakie przedsiębrał Chałubiński, trudnoby się było obejść. Sabała był na nich nieodstępnym towarzyszem i pozyskał sobie jego zaufanie i względy, a nie omyliłbym się, gdybym powiedział — przyjaźń.

Całą zimę nie można było w środku Zakopanego zobaczyć Sablika. Zagrzebawszy się, jak niedźwiedź, w swej chałupinie w Kościelisku, robił zbójcekie noże, lub inne rzeczy, by w lecie mieć co podarować Chałubińskiemu, jego przyjaciółom i znajomym. Prawie nie opuszczał swej chałupy i zdawał się zapominać powoli, grzejąc

się przy ogniu na nalepie, o swej dawnej awanturniczej przeszłości.

Gdy jednak późną wiosną zakopiańską ruszył w czystej, jak śnieg koszuli i onyckach, z kapeluszem na bakier nasadzonym, a zdobnym w pióra bażancie, głuchonie i cietrzewie, a niekiedy wkwiaty, z siekierką, wyglądającą ostrzem z za kołnierza zarzuconej na ramiona cuhy, łatwo było zgadnąć, że dla tego tak się wystroił, oveselał, śpiewał i grał, bo rad był, że »pàn wielkomożny« przyjeżdża, dla którego miał tak nieograniczony szacunek i wielkie poważanie.

W jego bujnej wyobraźni nosił »Król tatrzański« wszystkie tytuły hrabiowskie, a nawet książęce, a był przekonany, jak zresztą większość górali, że jest od nich daleko bogatszy, »bo niekze ci tu wtorego zeby był i barzo wielkomożny, tak radzi widzom, jako jego«.

Sabała nie dziwił się nigdy, po co tyle gości lezie »na próźniacke do Zakopanego«.

Karcili górali, którzy twierdzili, że goście całe życie tak nic nie robią, jak w Zakopanem.

Oni — mówił — siądajom w takim rowniak, co nika nic nie widno.

Ją wiem ka, bok ta był. Abo siedzom w mieście, to ino widzom do drugik murów.

Kazdy mą swojom robote, jak dudomu za-

jedzie. Straśnie som jest ci panowie ciekawi. Straśnie duzo radzi widzom.

To takie małe bedzie, co mu jescce matka na portecku sukna załuje i do ziémie mu ik nie sýjom, a juz go ucom. Straśnie te dziecińska męcom. Ale oni sami majom wielgom do tego nature. Cýtają we dnie i w nocy.

Krzeptowski przewodniczył nie dla zysku. Mówił:

— Ją biédny nie jest. Dziecińskak wycęściowàł, to majom co jeść.

Przewodniczył zawsze dlatego, że we włóczeniu się po górach znajdował wielką przyjemność. Przypominał sobie młode lata. Przodował też młodym nie tylko wytrzymałością, ale zawsze dobrym humorem.

Niekiedy nie chciano mu dać torby, by się starszek nie zmęczył. Wtedy mówił gniewnie:

— Cozto — prosem pięknie, ją dziecko, cý co? Wiatry dujom wielgie, toby cłeka zabrało, kieby był leki — haj.

Napakowawszy sobie zatem torbę wiktuałami, zarzucił ją na barki, zaśpiewał i ruszył w góry, a cała drużyna za nim.

Wiele przeżytych wypadków, bogate w przygody własne życie, lub wreszcie dowcipy i opowiadania, które od innych górali słyssał i na swój sposób przetapiał i zmieniał, oraz łatwość zmy-

ślania, czyniły go zdolnym przez całą drogę w góry i z powrotem opowiadać tak dowcipnie, że słuchacze wybuchali co chwila homerycznym śmiechem.

Liczna i wesoła drużyna wycieczkowiczów bawiła dłuższy czas w Tatrach. W braku schronisk trzeba było nieść ze sobą całe namioty i obfitą żywność, ku czemu trzeba było mnóstwo ludzi, a ci rekrutowali się z młodych górali.

Tu terminowali w rzemiośle przewodnikiem ci wszyscy, co ich dzisiaj widzimy w Zakopanem, stojących po drogach i wyczekujących na gości, zamierzających wybrać się na wycieczkę.

Ozdobieni oni zostali później przez Towarzystwo Tatrzańskie blachami z szarotką, numerem i klasą, do której ich według zdolności powcielano.

Ci wszyscy, z wyjątkiem starego Maćka Sieczki, nieboszczyka Wali i Szymka Tatara, byłiby może nigdy nie wdarli się w serce Tatr, bo nie mieliby byli do tego sposobności, ani czasu.

Każdy góral zresztą nie ceni należycie swych okolic. Dopiero przesadzony w obce strony, zaczyna tęsknić do nich i nieraz od tej tęsknoty ginie.

Bystre oko Sabały dostrzegało najwyżej wzbijającego się w locie orła, mknącą z dziećmi po skalistych stokach turni kozicę, lub zakłęte w granit postacie ludzkie.

Uczył swoich młodych towarzyszy nazw szczy-

tów, zwracał uwagę na piękność, wskazując, do czego ta, lub owa turnia podobna.

Swoje objaśnienia przeplatał różnymi swego wymysłu dodatkami, lub śpiewaniem i grą na gęślach.

Towarzysze skakali chętnie do taktu czy to skrzypiących jego »zióbcaków«, czy też przy muzyce Bartka Obrochty.

Ciekawy to musiał być widok, gdy Obrochta, zwany zwykle »Bartkiem« zagrał, a drużyna z Sabałą na czele zapomniała, że ma na sobie ciężką torbę, że przebyła tak długą i tak uciążliwą drogę i puściła się w ochoczy taniec zbójcecki.

Przez cały czas pobytu Chałubińskiego w Zakopanem był Sablik w ruchu.

Zawsze codziennie wczesnym rankiem suwał kyrpcami z Kościelisk, gdzie mieszkał, ku Zakopanemu. Od czasu do czasu spoglądał w górę jednym okiem, jak orzeł, przechylając głowę to na prawo, to na lewo, chcąc zbadać, czy »chmury się nie robiom«, czy pogoda będzie trwała i czy będzie się można dalej wybrać.

Po drodze wstąpił do kościółka drewnianego i tam krótko się modlił.

Pacierz jego był ciekawy, bo pełno w nim było dodatków i przekręcań.

Raz zmówił tych pacierzy tylko dwa i tak je ofiarował:

— Okwiarujem téz tén pàciorek Nàświęcój Paniencie Maryjce, Pàniezusowi i św. Janowi, pa-truniowi. Ale ik téz barz piéknie przypytujem, bo téz pàciorecków ino dwoje, a ik do podziātu troje — haj.

Tu by trza zmówić lo św. Jana jedén, a ta pàn wielkomozny bedzie sie ciskãt, ze mie ni ma.

Ale wiem, co robiem. Ja téz to okwiarujem Nàświęcój Paniencie Maryjój, a ona ta sićkik dobrze, dorówności podzieli i nikomu krzywdy nijakiej nie zrobi — haj.

I wyszedł.

Ciekawe również było następujące ofiarowanie:

— Okwiarujem téz tén pàciorek Panu Jezu-sickowi — okwiarujem i polécã, jakby kciãt przyjońć; a jak nié, to jã sie téz ta ś nim nie sprzécóm.

W wykonywaniu dobrych uczynków był Sabata Chałubińskiemu niejednokrotnie pomocny.

Miał u niego wielki wpływ i szacunek dla siebie, więc korzystał z niego często; gdy kto prosił o wizytę doktorską, wstawał się Sablik, motywując swą prozbę słowy:

— Jã ta ś nim znajomy, a moze i krewny.

— Jakże bliskie pokrewieństwo? — uśmiechając się, pytał lekarz.

Sabata zaczął zaraz opowiadać, jak z nim chodzili na kozy i ile ich ubili.

— My sie z jego ojce strãśnie radzi widzieli, choćmy spólnikowali.

Razu pewnego zagadnięty w ten sposób przez Chałubińskiego, nie mógł się szybko połapać, a po-wtarzać się nie chciał, więc mówił:

— E, my ta byli — prosem piékie ik wielkomożności — z jego ojce kumotrami, ale przez mojom babe.

— Ja, tok jego krewny, bok od niego ko-byłsko kupił i udała mi sie strãśnie.

Albo też:

— Jã ta ś nim kumoter.

— A kogozeście trzymali? — pyta jeden z górali.

— Eć wej, worecek we młynie, kié mie baba po mãke posłała, kié jom młynarz do worecka suł — haj. —

Pewnej góralce zachorował syn, pobiegła więc prosić Chałubińskiego, żeby go odwiedził. Deszcz padał jak z cebra, a wysłany Sabata po »budkę« nie mógł jej znaleźć.

Lekarz wypytał się o objawy choroby, a gdy zmiarkował, że niebezpieczeństwo w zwłóce nie grozi żadne, mówił:

— Poczekajmy — moze się przecie skończy ta lejba.

— O, ono się skończy — rzekł Sabata — bo strãśnie pilno leje.



— Ono ino — prosem pięknie ik wielkomożności — niek-ze idom. Cuhe im dom, to sie odziejom. A kie horość przysła, to ono ta trza jom wygnać, bo i śmierć będzie kajsi nie prec.

Bedzie koło wędłów zajézdzac.

Ony, to som jest siostry, a śmierć, to strasnie wartkà baba — haj.

Odział własną cuhą lekarza, a sam, przewróciwszy serdak do góry kudłami, suwał lekko po błocie przodem i mruczał pod nosem:

— Ono, ja tak uwazujem, co sie musiało gazdostwo w niebie popsuc, abo jako?

Tak leje i leje bez porządku.

Stosunek jego do Chałubińskiego różni górale bardzo różnie sobie tłumaczyli.

Jedni mówili, że Chałubiński ma jakiegoś robaka na sumieniu, co go gryzie. Każe więc Sabale błaznować i pleść sobie głupstwa i tem się cieszy.

Drudzy — może przez zazdrość — źli byli na niego, że nadużywa dobroci lekarza i siedzi u niego, bo mu dobrze jeść dają,

Inni wreszcie byli tego zdania, że dziwactwo starca interesuje lekarza, który go obserwuje, jako jakiś ciekawy okaz.

Są to twierdzenia — zupełnej nie mające podstawy.

Przekonać się można było, że staremu prze-

wodnikowi zupełnie o jedzenie nie chodziło. Szedł z tym samym humorem opakowany butelkami szampana, węgryna i różnymi doborowymi wiktuałami, z bogatymi gośćmi, co i z nami, wzięwszy do tórbki kawałek suchego »moskàla z króźlickom koziego masta».

Nieraz wyzywał nas sam w góry, mówiąc:

— He, hłopcý, hybajcie se mnàm. Weźcie kawałek chleba, ja masło mam.

Nie starajcie sie nic. Pudziemy pod Krzywań.

Hań mnoho śrèbła i złota gnije, bedziemy sukac.

Przecie go hań ja dość nahował. Catek go dni sukàł. Sukàtek go kielka roków, alek go nie nalos, bok tego nie był godny — haj.

Ale wy młodzi. Hybajcie, ja wam ukazem, ka trza szukać. Inok se zabocył pod wtorom turniom zakopane kotliki.

Hybajcie wartko. Sukajcie. Moze wam sie co zaświéci, boby wam sie przydało. Beńdziecie mieć sićkiego dość — haj.

Ino hybajcie. —



## IV.

§ Sabale nie brakło nigdy słów do wypowiedzenia swoich myśli. Nawet tę samą powiastkę, lub jakiś drobny szczegół, umiał w sposób bardzo nieraz zręczny, czasem nawet misterny, a jednak odmienny przedstawić.

Inaczej opowiadał, gdy pośród słuchaczy znajdowały się kobiety, inaczej mięszanemu towarzystwu, młodym i starszym, a inaczej młodzieży płci męskiej.

W pierwszych dwóch wypadkach wypadało opuścić zupełnie opowiadanie »O chłopie i djable« co to na różnych kobyłach przyjechali, a ten miał zbierać jarzec, który na piękniejszej przyjedzie.

Była to powiastka pełna życia i dowcipu, a Bartek Obrochta mówi, że Chałubiński kładł się od śmiechu, kiedy ją Sabała opowiadał, powtarzając:

— Ej, Jasiu, Jasiu, przecie też z ciebie pies.

Inaczej również kończył powiastkę: »Z czego baba stworzona«, dodając pewien szczegół.

Obie powiastki pomieszczone są w swojej najzwyczajniejszej formie.

Elastyczność mowy i wieczna przytomność umysłu pozwalała mu zawsze znaleźć dowcipną i stosowną odpowiedź dla tych, co go chcieli zbić z tropu i udowodniali mu nieprawdopodobieństwo faktów, które przytaczał. On wierzył w to, co mówił.

Piosnki urabiał sam, lub też brał gotowe »O Janicku zbójnicku«, zwłaszcza, że przypadały mu doskonale, bo Sabale było też Jan na imię.

Opowiadał, nie dbając na to, czy słuchacz zgodzi się na jego zasady, czy zbuduje go treść opowiadania lub nie.

Chciał opowiadać, bo wiedział, że oryginalnością tematu i mowy zawsze zabawi,

Jemu sprawiało »gwarzenie« przyjemność, choć się nigdy nie narzucał.

Nie zawsze jego opowiadania miały ze sobą związek, a to dla różnych epizodów.

Zdarzało się często, że początek bajki, opowiadał z rana, a potem zeszedł na manowce, zagubił się i zapomniał, co zaczął opowiadać.

Później, gdy sobie przypomniał, nawiązywał opowiadanie do poprzedniego i kończył.

Zwłaszcza w ostatnich czasach błąkała się i plątała myśl jego, opowiadania podobne były

więcej do sennego majaczenia, tęsknoty za upłynionymi bezpowrotnie czasami.

Z, mowy wieje jakieś marzycielstwo przedstawienia rzeczy wiernie, wyraziście i dobitnie, a to z tą tragiczną grozą, przed którą słuchacz truchleje i ma pewne poszanowanie dla siły i namiętności bohatera.

Nie chętnie, ale musiał go Sablik odprowadzać w swem opowiadaniu, do jakiegoś lochu węgierskich zamków nad Wagą, najczęściej jednak do więzienia na samej tysinie Orawskiego zamku, skąd się mógł ratować, podarłszy swoją bieliznę w strzępy i powiązawszy w długą taśmę.

Po takich linach, które nigdy nie dosięgły spodu, spuszczała się »Sabałowi honorni hłopi«.

Żałował ich zawsze, że tak wczesnie musieli gnić w lochach, lub ginąć na szubienicy, »bo byli setni i dobrze towarzysowali, a jeden za drugiego byłby się dał na drobne kąsecki porąbać.«

Szkoda, że nie spisano tych wszystkich, tak obfitych podań zbójceckich.

Podczas śpiewania pochmurniał Sabała. Postać jego kuliła się coraz więcej, czoło marszczyło raz po raz.

Wargami ruszał; widocznie wymawiał odpowiednie słowa do pieśni.

To, co śpiewał, czuł doskonale, a jeżeli nie

oddął wszystkich swoich uczuć na lichym instrumencie, który »sprzętem« nazywał, dośpiewał sobie reszty z fantazyi.

Nie można mu było podczas grania, lub śpiewania przeszkadzać; nie wiele zresztą słyszał, tak był swoją melodyą zajęty.

Obejść się bez gry i śpiewu nie mógł, bo go to bardzo »cieszyło«.

Grał na skrzypcach podłużnych, zwanych u górali, jak z resztą każde skrzypce, »gęśłami« albo »złóbcokami«. Miały one tylko 67 ctm. długości, a 12 szerokości. Na nich rozpięte 4 struny, nastrojone kwintami.

Ton ich naturalnie ostry i szorstki. Wyrób to domowy, a rozpowszechniony dawniej na całym Podhalu.

Często spotykały starego grajka docinki ze strony gości, z powodu prymitywnego [skonstruowania tego instrumentu.

Sabała podawał wtedy grzecznie skrzypieczki i mówił:

— Nycies, nycies — prosem pięknie — niekze weznom i grajom. Oni ta lepiej umiom, bo z ksiązki, a ja se ta ino z głowy — haj.

— Ja ta ino telo umiem, co drudzý potracieli — haj. Nycies.

Inaczej było, gdy się który z górali odważył

coś powiedzieć na jego »sprzęt«, noszony zwykle w zawiązanym u dołu rękawie cuhy.

Gniew Sabaty zawrzał i często przyszło do bitki.

— Siém djasków zjedliście, ajeście zjedli, wołał, wy przehyry!

— Nycies i grajcie sami, a jak nie, to wás tu porąbiem. Ja, abo ty, ale jeden s nás grać musi końcem, bo ja tak rád widzem. Kiby to djascy byli, co by ja wám, głuptaki jedne, nie dogodził.

Kiedy go ludowcy do Lwowa na wystawę zawiedli, zaczął wróżyć, ile jeszcze lat będzie ten, lub ów żył. Zebrało się sporo ludzi, którzy chcieli uchylić przyszłości swojej zasłonę. On zaś wywróżywszy, tak mówił:

— Dawniej, jak jesce nieboścýk Pàniezus żył, to ludzie wiedzieli, co będzie — haj.

Jaze się róz wybrał święty Pieter i Paweł z Pàniezusem, coby ludziom pomódz na przednówku i nasiąc im grzybów. — haj. — Pieter seł przodke, kopał dołki, a tymcase torbke zawięsił se ino tak na cienkim patycku suhym, na sęcku jakim — haj, abo téz prasnon na ziém.

Po dęscu byto, tozto się Pàniezus zgniéwał, ze się zwálała i tak Pietrowi świętemu padà:

Wies co, Pieter, jakoz ja mam błogostawić, coś ty w dołek wsuł, kiek się zgniéwał.

Cemu ty nie zawięsis torby, jako się patrzy na sęku — na smreku — wysoko — haj — tak, coby nie spadowała. — Cemu sęków hrubýk nie wbijos, hę?

Jaz święty Pieter Pàniezusowi tak padà:

Panie Jezusicku! jakoz ja torbe mam więsać, kieby trza sęki więkse wbijać.

Na cos bedem wbijał, kié hnetki jom wziąć musem i dalej nieść.

Pàniezus mu zaś tak pedziàł:

Widzem, ze Paweł téz nie zagrzeba dołków, jako się patrzy, ino coby się zbyć.

A Paweł Pàniezusowi tak padà:

Na cos ja mam dobrze siémie grzébść, kié jak będzie rosło, to se weźnié i dziure zrobi, coby wysło — haj.

Cekojcies — pedziàł se Pàniezus. Pokiwał nad nimi ręcami i pedziàł:

Teráz juz zàden ze świętyk nie będzie wiedziàł nic, co się jutro będzie robić — haj.

A ludzie nie bedom wiedziéć dnia, ani godziny śmierzci swojej, ani nicego.

Temu to wej cłek nie będzie Panu Bogu bez rozumu przechodził i nie będzie wiedziàł, co będzie jutro — haj. To práwda — prosem piéknie ik miłości. Oni widzieli moze, ze w lesie som jest do dzisiàk sęcki na smrekàk, co ik święty Pieter nawiéwał i torbe z siémiénem na nik więsał, haj.

Muzyka zaczęła grać, a Sabala pobiegł, stanął przy kapeli i zaczął grać na swoich skrzypcach.

Wypędzono go natychmiast, czego on nie mogąc sobie wytłomaczyć, wyrzekął:

— Kiby to byli, co by ja sie ś nimi nie zgodził. Ja zgode wse rád widzem, a kié patyke pokazuje, jako grać, to téz poradzem — haj. — Cozbyk nie zdołał. Ino ja tak uwazujem, ze to robi sićko zázrość, co byk im hlebà nie odebrał — haj.



## V.

Religia Sabala nie różni się w zasadzie niczem od dawnej religii wszystkich górali podtatrzańskich, którzy nie uważali za coś Panu Bogu ubliżającego, gdy sobie w kościele »fajeczkę« zapalił i »páciérz na koronce mówił«. Jeżeli zaś nie palił w kościele, to sobie »na odchodném od lampasa przed wielkim oltářem zapalił i seł do pola kurzyć«.

Wyobraża on sobie Boga, jako starego, doświadczonego gazdę, który ma pola i lasów »mnohenko«, więc téz hojnie rozdaje ludziom dobrym, stara się o nich, »bo mà z cego«.

Ma ludzi i zwierzęta pod swoim panowaniem, ale władzę nad zwierzętami dał lwu, a »orłowi nad ptactwem«.

Wszystko na świecie przez Niego stworzone, ale woli ludzi, »bo sie ś nimi może dogadać.

Zwierzęta, to téz pierwotnie ludzie, tylko za

karę tak przekształceni zostali, że do nich są bardzo mało podobni.

Osobne są na Podhalu bajki, motywujące tę zmianę poszczególnych rodzin zwierzęcych.

Tłumaczą one góralom, dlaczego krowa nie ma w górnej szczęce siekaczy, dlaczego koń nie ma rogów, a ma szczyrbinę pomiędzy siekaczami, a kłami. Znajdują w nich przyczynę obdarzenia osła przez Boga długimi uszami, psa miłością ku człowiekowi, nienawiścią ku kotowi, a tego zaś ku myszy.

Czasem gniewa się Pan Bóg na swych mądrzejszych poddanych, tj. ludzi, to też karze srogo »ziemi rokami«, w których się nic nie rodzi i są postrachem dla całej ludności.

Różnica jednak pomiędzy pojowaniem Boga przez Sabałę, a innych górali jest dość znaczna, bo on podobieństwo do bogatego gazdy doprowadził do najdrobniejszych szczegółów.

Bóg Sablika ma ubranie góralskie, a więc nosi też torbkę góralską, a w niej składak, ma chałupę całą cyfrowaną, z ławami po pod okna bogato rzeźbionemi. Osobliwie piękny jest sosrąb.

Gospodarstwo (gazdostwo) ma duże, to też pomagają Mu w zarządzie aniołowie, »bo, by se ta sąm radý nie dāt«.

Jako mądry gazda chodzi, dogląda roboty i zachęca do pracy, a ludzie nieraz całe kopy

snopków znoszą na sobie, by się tylko Jemu przypodobać.

Jestto wytlómaczenie natury tego ludu, iż woli czegoś nie zaczynać, jeżeli czuje, że mu się to nie uda. Jeżeli jednak zacznie, to dokonać musi koniecznie, żeby go mieli »na drobne kąsecki posiekać«.

Wytrzymałość, energia i siła górali muszą imponować każdemu, kto się z nimi bliżej stykał. widział dźwiganie olbrzymich tramów, łamanie kamieni, pracę w polu, lub nawet włóczenie po górach napchanej torby i tańczenie z nią, pomimo najdłuższej drogi.

Matkę Boską przedstawia sobie Sabała, jak to już z jego ofiarowania pacierza widać, jako nadzwyczaj miłosierną, dobrą i sprawiedliwą gazdzinę, która wszystkiemu roztropnie na czas zaradzić umie i nawet trudny podział sprawiedliwie uskutecznić potrafi.

Jest tu tak względem Boga, jakoteż i względem Matki Jego ta naiwna poufalskość, znamionująca niskie wykształcenie.

Sabała opowiadał, że miał raz widzenie.

Zobaczył Matkę Boską, idącą grzbietem Gewontu i »wyskajającą«. To znowu wołała na niego, dążącego popod regle:

— Janicku, ho, ho, ho.....

On zaś odzywał się Jej:

— Paniénko Maryjo! hop, hop, hop....

Przypomina to zupełnie wyskanie pasterzy i pasterek, gdy chcą się przekonać, gdzie który pasie.

Sabała nie był uważany przez górali za wierzącego człowieka.

Z tego jednak, co powiedziałem i co z własnych jego opowiadań się okaże, widać, że acz na swój oryginalny sposób, był on głęboko wierzącym chrześcijaninem.

Kiedy się wdarli z nieboszczykiem Chałubińskim na jakiś wysoki szczyt (podobno Krywań), »prason ciupage i kapelus i zacon páciorze mówić. My téż sýćka za nim, bo ta do nieba było nie prec«.

Tak o nim opowiadał młody przewodnik Tomek Lądziego.

Cała tajemnica niepopularności Sabały wśród górali leży w tem, że oni szybkim tempem w ostatnich czasach daleko postąpili, tak dzięki takiemu duszpasterzowi, jakim był ks. Józef Stolarczyk, jako też w ogólnem wykształceniu i ogładzie — dzięki szkole i stykaniu się z gośćmi.

Sabały chwytano się to bardzo mało. Trudno go chyba posądzić o brak zdolności.

Po części przyczyniło się do tego i to, że on opowiadał gościom o dawnych zwyczajach i obyczajach góralskich, szorstkich, bo pierwotnych,

a oni tak rychło i tak uporczywie wstydzą się tego, co było i starają się, co jest zresztą wadą ogólnie ludzką, nadać wszelkimi środkami i sposobami naturalny ton swojej emancypacji.

Zasady etyczne miał także odrębne od dzisiejszych górali, choć nie we wszystkim. Były one takie, jakie zaczerpnął w swojej młodości i zatrzymał w swoim konserwatywnym umyśle.

Prawie zupełnie pokrywały się ze zbójcekiem. Prawda, że wśród innego otoczenia i warunków zblednąć musiały, ale nie wygasły, jak nie wygasł ogień jego gwałtowności, który go nie opuścił aż do śmierci.

Według Sabały, może człowiek za młodu wydziwiać, bałamucić baby, popuszczać sobie wodze i nie bać się nikogo, ani niczego na świecie, ale gdy się ożeni, przepadło wszystko.

Wtedy musi pozostać wiernym jednej.

Sabała był dobrym mężem i wzorowym ojcem, a tylko do małego wzrostu i ograniczenia swojej żony przymawiając, opowiadał:

Ja ta — prosem pięknie — mam doma takom babinku, coby jom do tórbki sowiał. A kieby jom, strzez Boże, oreł porwiał, to jom na Krzywiał zanie sie i nika nie odpocnie!

Alboteż:

Moja tarà sie nie starà, skąd niesem, ino co niesem — haj.

Jak ciek zbijał, — filozofował Sabala — to nic. Ino nie zjédz sàm, daj biédnym, a na kwàte Boskom téz co obróć.

Podstępem napadać wstyd, ale mylić ślad i zjawić się jasno w biały dzień tam, gdzie się przeciwnik najmniej spodziewa, oznaczało rozum w głowie.

Chwalił zawsze tych, co potykali się oko w oko z Liptakami, a nie dawszy ognia, mierzyli się silnemi ramionami.

— Wte wàrtało zginąć. — Było to bardzo możliwe, bo do tej walki trza było dwok, a do ozyjścia sie i udobrowania ino jednego. Ino w głowak była ta dwojakość, co nàpierwej mieli oba dwie, a pote to nios jedén trzy.

Oburzał się zawsze, gdy kto, zostawszy porturbowany przez drugiego, włóczył się po sądach, lub brał »dutki«, jako odszkodowanie i mówił:

— Jak ziandar przyńdzie, haj, to go wyzén. Co on ma sie do twojego miésać. Jak winowatemu darujes, toś hłop i tak sie patrzy, ale jak cie przepytà. Krew to nie wódka, cobyś jom dudkami u zýda zapłacić — haj — ale znowa krwiom — haj.



## VI.

Filozofia Sabala jest nader prosta.

Nigdy człowiek nie powinien się do niczego zbyt przywiązywać, bo w przeciwnym razie szczęście jest wykluczone.

Kto długo żyć chce, nie powinien się smucić, »bo zgryzota i smutek to zła horość. Pilno cęka złupi«.

Tego trzeźwego zapatrywania się na świat, oraz bardzo dużo zmysłu spostrzegawczego, dowodzą później przytoczone opowiadania.

Sam twierdził stanowczo, że się nigdy nie smucił.

I rzeczywiście uwierzyć mu trzeba, gdy sobie wyobrazić wypadnie, jak grał ostatniej krowie marsza orawskiego, kiedy mu ją za jakoweś długi ze zagrody zabierano.

— W Pana Boga wierz, ale Mu nie wierz — mówił Sabala, patrząc na kurniawę po hałach w miesiącu lipcu, lub deszcz w zimie.



— Ciekowi ze smutke wnuku, to tak nijak żyć, jako niedźwiedziowi z kulkom w brzuku.

Wyzyń ze sobie smętek — to ci i życie będzie zaraz miłse.

Zycie cieka to je dobre, godne, ale nie wygodne, a co wto temu winy jest, ze żyć musi.

Kié ojcowie kcieli, cohyć żyć, to ty musis téz kcieć, a narzékać i labdzić nima co, bo tu tego nie wiecność — haj — nie długo. Nie przeżyjemy Gewontu, bo on nas sićkik pohowá.

Muru głowom nie ozbijes, tozto dáj pokój lepiej.

Mądry i głupi to sie nigda nie nadadzom, bo głupi będzie mądrymu zawse ciučkát, ze je głupi, a mądry sie głupiego nie hyci, cohy go naucyl — haj — bo sie ś nim babrać nie będzie kciãt.



## VII.

**P**rosem pićknie ik miłosci — ciek ta selenie, jakom mà na sobie skóre i kość — haj.

Kié Pãniezus stworzył dźwierzynie, to zawołał lwa i tak mu pedziãt:

Króluje ty nad dźwierzami, ja se zaś nad ludźmi bedem.

Ale cos? Dobrze nie barzo, zešli sie wół, osieł, cieie i pies — i kcieli końcem, cohy lwa z królowania zrucieć, a sami sie królami porobić — haj.

Pomocników napytali. Pies z telegrafami poleciał, ciełeciu kãzeli, cohy strasnie załoscie becało, ize mu sie kce jeść, wół se hodziët i gadał za niego, bo ono było głupie.

Pãdali tak, ze im lew jeść nie daje, ino ik katuje.

Osieł strzyg usami i pokazowãt, ze jak on tak, to lew tak, jak zaś lew tak, to on siãk.

I dobrze nie barzo, dowiedział sie lew o tém, zawołał do izby sićkik i tak im padà:

Wiécie co — strasnieście se głupio pocéni. Wto wàm to poradził?

Zacyni sie wymàwiać i nikogo nie było, co by sie przyznał.

Djaskoweście wy zjedli, ajeści zjedli, kieście sie tak głupio našli — haj. Wy myślicie, ze ja z królowania ràd? Pàniezus kàzàł, tozto słuhać go trza końcem — haj.

Nà, kieście zgrzészili, to i pokutować musicie. Ja wàm jom zaràz nałożem.

I, dobrze nie barzo, nie kciàł sàm sýćkik kàrać, bo mu sie ś nimi nie optàciéło babrać. Kàzoł wołowi zjeść psa, a ośłowi woła. Ale ciele ośła ni mogło, bo to kości kwarde. Gryzie ciele kości, gryzie, zęby se cýsto piéknie wykróciéło. Jaze co sie nie robi, zjadło ciele ośła, ale głowy sýćkik ostały, bo lew miàł zjeść ciele, a bàł sie głów, bo były sýćkie strasnie — przepytujem téz piéknie — głupie. Zjàd pote lew ciele, bo było nàlepse i nàmiekse, ale głowe téz ostawił — haj.

Zakopał pote skóre i głowy do ziémie i tak to gniło. Lecom roki, lecom, gnijom głowy, gnijom, skóry téz.

Jaze sie namysłàł Pàniezus, jakiego mà stworzyć cłowieka.

Toz to wzion błota i ulepiéł cłeka. Ale cos,

kié był na tém miejscu w te, kié go stworzył, co oni byli zagrzebani, te głuptàki — haj.

Temu to cłek, zeby był i nàmądrzejsy gazda, to je — prosem piéknie — stworzony z tyk bydłat. I kié je młody, to je głupi, jak ciele.

Kié zaś urośnie — to goni jak pies i nika sie nie stanowi.

Zaś sie ozéni, to ciągnie, jak wół — a kié nàń starość przyúdzie — to znova zgłupieje, jako osieł — haj.

Ale ono ino hłopi som jest tacy, a baby to pote stworzone — haj.



## VIII.

**T**ak było :

Kié — prosem pięknie — Pàniezus stworzył świat, to sie obezràł, ośmiàł sie i tak se pedziàł :

— Barz jà to sićko dobrze porobiéł. Ino nie wiém, cý sie mojemu Jadàmowi nie bee kotwić, bo je sàm — haj.

Trza mu końcem sprawić jakom zabàwkę, coby sie ś niom przý casie zabawił, coby mu sie nie kotwiło.

Tak se pedziàł Pàniezus.

I dobrze nie barzo, zawołàł :

— Jadamie, hybàjze haw!

Jadàm przýseł, ale mu sie stràśnie tydki zacyny trzàść, bo sie Pàniezusa stràśnie bał — haj.

— Lýgaj! — padà mu Pàniezus.

Jadàm pilno na pościel lóg, ale se pomysłàł :

— È, bedzie cosi, bedzie źle — i tydki zacyny mu mocniej dygotać.

Pàniezus porusàł na pościeli ręcami nad nim, toz to pilno usnon.

Wyjon pote — prosem pięknie — składàk z tórbki i wyrznon mu we śnie ziobro.

Ale to było stràśnie brzydźkie i masne, toz to prasnnon na brzyzek, coby oskło.

Djascý nadali psa. Zakradła się kanalijà, łap ziobro i w uciekaca ś nim do dźwiérzy raju.

Pàniezus łap kija i daléj za nim.

Ale pies wàrtki, a Pàniezus stary i nimóg go dolecieć i hycić, coby mu ziobro wydàr.

Lecom, lecom, jaze przýlatujom do dźwiérzy raju, a pies juz był we dźwiérzak.

Toz to Pàniezus wàrtko kopnon dźwiérze.

Dźwiérze sie na zàworkę zaparty, uciény psu ogon, ale pies uciók — haj.

I dobrze nie barzo, co Pàniezus nie robi, wzion tén ogon pote, obezràł, zgniéwał sie i pedziàł tak :

— Cekàj ino ty. Ja ci i tak pokàzem, zek cosi kajsi wàrt.

Toz to zgniéwał sie, łapił ogon i z tego ogona stworzył babe — haj.

Temu to, prosem pięknie ik miłości, wielgie panie ogony nosom u sukniów.

Ciàgnie ta wej swój do swojego i ràd go widzi — haj.

Ta — padà — i psy som jest bez ogonów,  
ale nase kudłaki, białe, owcarskie, co owce pasu-  
jom, to ik majom.

Ony sie moze pokociły przedtém, abo od  
inyk psów. Cý jako ?



## IX.

**R**az co sie nie robi, ozesłł Pàniezus karby, coby  
sie sýčka święci wocymieniu zešli do gro-  
mady — haj.

I dobrze nie barzo ukwalujom, ukwalujom,  
jaze ukwàlili, coby cłowiekowi dać rozum, bo go  
ta — prosem piéknie — dàwniej nimiał takiego  
dobrego, ino taki, jako i kazdy dźwierz — haj.

Jaze, co sie nie robi, wypisali janieli pisma,  
a Pàniezus trzymał sýčko piecontke nad kaganke,  
a kie wtóre pismo juz było napisane, toz to wartko  
jom przýtozył — haj.

Pies sie zaś hnetki wryhlił i pedził, ze pi-  
sno ludziom zaniesie. On wse cęka strasnie  
— prosem piéknie — ràd widzi — haj.

Jaze mu Pàniezus tak padà :

— Leće, leć, wartko, co uwidzem, cý hne-  
tki zàjdzies.

Pies hybàj bez pole. Uleciàł hnet tégi ka-

wątek, toz to dół mu Pániezus pismo i tak mu padà:

— Nyści to, leć wartko i oznieś ludziom. Ino uwazuj, cocys nie potracieś.

Pies leci, leci, nozýska go bolom, bo to przecie z nieba do nàs prec — haj.

Przyleciàł na ziém i miał juz ozdawać rezolucyje, kie spotkàł kotke, co śniom znajomy był i zacyni se ukwalować.

Pies był zły rezolucyjzarz, bo prasnion tórbke z pismami na ziém i zacon kotke bośkać, haj. Zabocył se, co mu Pániezus napedziàł — haj.

Jaze go kocór użré. Toz to wartko przýstrzég sie, łap tórbke i hybaj śniom du domu. Schowàł jom pod dyle w izbie, coby mu jej pies nie nalàs.

Jaze przýsły mysy i pojady rezolucyje, pozlizowały lutery — haj — ino dziwtore ostały.

I, dobrze nie barzo, kie pies wróciét do nieba, pytà sie go Pániezus tak:

— Cemuś nie zaniós ludziom sićkim pisanià, jakok' ci ozkazał.

A on mu tak padà:

— Jakoz miàtek oznieś sićkie, kié mi kot pisanie ukràd, źle sował, toz to mysy ik pojady i lutery pozlizowały — haj. — Poczoz ik pisali słodcy janieli takim słodkim jatramentem — he?

Kazał Pániezus zawołać ludzi i mysy i tak padà:

— Jà temu nie winowaty, ze nie sićka rozum màcie, ino pies, to ś nim sprawa — haj.

Temu to — prosem piéknie — ctek zły i głupi, to wse na psa skałom ciśnie — haj -- abo go kijem praśnie.

Pies, to zaś kota sićko goni, coby sie na nim za pisanie zemścił. Zaś kot mysy łapie i zjadà, bo ony temu winowate. Pojady i pozlizowały pisanie — haj.

Jà tak uwazujem, ize temu sićkiemu pies winowaty. Kieby był kotke nie zalubiét, toby był o tórbce nie zabocył — haj.

Ale baba, jako baba. Wse hłopa wywiedzie, zrobi nieszczęście, co strak, a ty hłopie pote pokutuj — haj.

Kieby ik ctek — prosem piéknie — nie zalubił i nie wierzył, to onoby ta było, ale jakoz babom nie wierzyć? — haj.

X.

Set rãz kloryk bez luptowskom granice i przý-  
seł ku wielgiej wancie. Patrzy, a tu siła  
hłopa pod skałom leży — haj.

Jedni grzebli cosi kajsi w ziemi i zagrzébali  
pote, a drudzý sie ino przypatrzowali i wyrządzali  
jeden drugiemu,

Kié kloryka užreli, toz to hip do niego i za-  
cyni go zagadować, coby nie patrzãł, ka piniãdze  
kłãdom, coby nie zabrãł — bãli sie — haj.

Cięzko to, nie leko, uzbijali w Luptowie i na  
Węgrak, toz to bãli sie — haj.

Jaze jedén tak padã:

— Wiés co, księżycku, powiédz nãm kãncem  
kãzanie. My juz dãwno go nie słyseli, toz to nãm  
powiédz, ale takie, coby nãm sie widziało — haj.

Tak go wej kciãł zabawić, coby na dudki nie  
patrzãł.

Kloryk sie przezegnãł i pãciorek zmówił, coby

go nie zabili. Pomodlił się kãndek. Pote wysel  
na turniom i tak kãzanie padã:

»Wase, zbojnicy, życie to kolwicek takie, jako  
Pãniezusowe — haj. Ino som jest rãżnice. O jest.

Pãniezus tak, jako i wy, włóczył sie po świe-  
cie, ino ze on pięcioma rybeckami to sićkik na-  
kormił, a wy tobyście i sto krów zjedli i jesce-  
by wãm mało bylo.

Piniãdze w Luptowie i na Węgrak i na ca-  
łym świeciebyście zabrali i jesceby wãm mało  
było — haj.

Pãniezusa hycili i was tãz hycom i bedom  
bukowcami opalonymi bicowali, a pote moze i po-  
wiésom«.

Jaz zbójnicy krzycom. »Nie dãmy sie. Zrućmy  
go z turnie«. Ale dali pokój, bo piniãdze nie byly  
jesce pohowane.

»Bóg ze wie, co bedzie. Moze i tak źle nie«,  
padã kloryk.

»Pãniezus wstãpił do piekła, a wy ta tãz tam  
patrzycie. Cý wãm sie widzi to kãzanie, cý  
nie?«

Jaze zbójnicy pãdajom: »Gãdãjcie dalej. Widzi  
sie, widzi«, a obziérãli sie, cý piniãdze pohowane  
— haj.

Przyłeciał harnać, zgarnon kloryka ze skały,  
prasnon mu gãrść talarków, co sie z kotlika  
zwyśyły.

Toz to dą̄ mu te duką̄ty, a kloryk łap  
i uciók — haj.

Jesce im przed odchodn m p dzią̄t:

— P niezus wstą̄pił do ni ba, ale wy ta juz  
nie wstą̄picie.



## XI.

**P**  az wybralimy sie z nieboscyke ojce na jar-  
mak do C rnegu Donajca, cyby nie przy-  
kupi c jakiego jagnięci ka, abo j recki, bo n m  
wykapały. Juści, dobrze nie barzo, wstalimy stra-  
snie wcas — prosem pi knie — coby za noc y  
daleko u s c, bo dzień był mały.

Toz to przy slimy do Hoho owa (Chocho ów),  
kie juz było dobrze rano — haj, a na Bi łym po-  
toku bylimy, kie nami niało na świtanie — haj.

Kie my przy sli do Hoho owa, trza było ko n-  
cem popi ka c garła, bo my byli na cco swi te —  
haj. — Toz to po limy co wypić.

Jaz J zek z Hoho owa przylatuje do mnie,  
a bylek dobry  nim, bo my sie   nim stowarzy so-  
wali na Orawicak.

Toz to pada;

»Jasiu, Jasiu. Dzi s m j  lub, a organisty ni-  
moze, ty gra c umies — haj — toz to pilno hy-

baj, to mi przygras końdek, bo my zapłacili wynikrát, a nie honornie, kie na ślubie nie grajom. Niesczęście bedzie strasne — haj».

Jà na organak nigda nie grãł, alek sie téz nigda nie dàł nukać, kie mie wto pýtãł. Bylek ś nim dobry. Posetek.

Wyhodzem na hur i zgłupiotek cýsto piéknie. Jà se hano na moik gęślickak màm ino stéry struny, a pięć palców, toz to jak kcem, to sićkie poprzyciskom. A tam było telo tego plugastwa, tyk biãłyk i cãrnyk klawisów, cobyk przez cały dzień miał co przyciskać. — Tyk biãłyk było więcéj, jak tyk corynk, a sićkie trza było poprzyciskać — haj.

Słowok dàł, toz to trza było dotrzyńać.

Kãzotek se dàć dobrego duhaca, coby mi wse dobrze duhnon, to hociãjby jà, prõsem piéknie, i źle grãł, to jak on wse dobrze duhnie, to ono ita pudzie sýćko ładnie, sýćko piéknie — haj.

Ududkowali mi, ze je dobry, toz to jà sie nie dľugo namýślãł, myśliwskie prawo krótkie, i nie wiele myślęcý, poľożytek na te deske, ka to trza było przyciskać palcami, poľożytek ciupage, a na dole na te więkse, tok se sãm lóg.

Przewracom sie przewracom, coby ino sićko na jednyk nie grać — haj, a tu grõbãrz, co duhãł, nijakim świãte ni moze pary hycić. Co jom hyci, to jà mu jom wypiskãm do imentu.

Piskãm, piskãm, jãzek ukwãłił, ze i ksiãdz téz musi cosi przepedzić, nie ino jà bedem grãł wse tén wynikrát.

Toz to wstãtek, coby ciupage sjãć, patrzem, a przy ottãrzu juz nie było nikogo.

E, bo ta juz, djasków zjadło, aj zjadło, jà brzyćko grãł — haj.

I sjonek ciupage i uciók pote, bo jo ta i brzyćko grãł.

Po pięć sóstek, za wynikrát jà ta nie seł, haj, ani na wesele, bok sie strańnie hańbił, bo ja ta i brzyćko grãł — haj.





XII.

**D**rzewień — drosem pięknie — to tu nie było  
tãk blisko u nãs kościoła, jak terãz.

Był ino kościół w mieście, w Saflarak, a i w  
Cãrnym Donajcu.

Toz to hodzielimy rãz kielã cãs do kościoła  
abo na Donajec, abo do Saflãr.

Ukwalowali i ukwalowali, jaze ukwãlili, coby  
dãc na okwiãre jaki podarunek do Saflãr, bo my  
tam case hodzieli. Nie kcieli coby za darmo do ko-  
ścioła hodziãc.

W te ludzie byli barz biedni, bo nastãli, pro-  
sem pięknie, zle strãśnie roki — haj.

Toz to wójt karby poslãł i kie sie gromada  
zestã — haj — kãzãł padaãc, coby podarowaãc  
mieli.

Jaze ukwalujom, ukwalujom i ukwãlili, coby  
dãc świętego Jãdrzeja na okfiãre, bo on ta był  
patrunem w Saflarak — haj.

I, dobrze nie barzo, postã dwók hãpów. —  
Jeden był z Bańkówek, a drugi od Pitoniów. I po-  
šli do Jaworzynki i wypatrzwali smreka, abo je-  
dlom na tego Świętego.

Našli strãśnie wieldražnom — toz to pote-  
ścieni jom i okrzესali.

Jak krzesom, tak krzesom, jaze wykrzesali  
świętego. Ino ze był strãśnie hrubašny — haj.

Ka miãł mieãc ocý, dali mu dwie wantki —  
haj. Rzežbiãrze byli šnik kiepscý. Bo to — pro-  
sem pięknie — rzežby w te u nãs nie było takiej,  
jako dzisiãk, toz to nie umieli robiãc takik dziwa-  
ków, jako terãz robiom — haj.

No, i dobrze nie barzo uwazujom, jakoby go  
mieli do kościoła zaniešã, bo było dwie mile.

Jaze ukwãlili, ze go na wozie nie powiezies,  
bo je w rzecý świętý. Pošwiãceniã ni miãł nija-  
kiego, ale ze go przezwali świętym, toz to trza go  
było niešã, a nie wiešã — haj.

Ale kaz tu takiego hãpa tãgiego našãc, coby  
go uniós, haj, takom oãwiãre.

Jaze — dobrze nie barzo — jak ukwalujom,  
tak ukwalujom, i ukwãlili, coby temu dãc sto dni  
odpustu, co go do Saflãr zaniešie. Myšleli, ze sie  
taki przecie našãdzie, co sie na odpust zlakomi.

Jaze zlakomił siã Jasiek z Hrubego, wzion  
i niesie. Niesie, niesie, przynios na Bańkówki, ale  
dalej ni móg.

Jaze idzie wiedzaznà baba, Sidziniarka była, toz to wiedziãł, ze takie baby strãśnie som jest na odpusty łakome. — Toz to jej tak padà:

»Pomózciez mi tego świętego nieść do Saflàr, a pięć dwaścia dni odpustu wase — haj«. Z tyk sto.

Dźwigà baba, dźwigà, kościska jej w grzybiecie trzescom i rusyła madre, ale świętego nie dała rady z miéjsca ruszyć — haj. Wyrzekła sie odpustu.

Hłop se odpocon, wzion świętego, zarucił na ramie i niesie dalej.

W Biãłym Donajcu znowu pytà hłopa, coby mu pomóg, ale hłop poźrał na świętego, skręcił głowom. Nie kciãł — haj.

Obiecàł mu jus sićkie sto dni odpustu, coby ino niós, ale nie kciãł. Kręcił głowom.

»To jà cie tak długo nios — pada mu, temu świętemu, Jasiék — i nicek nie zarobil? Poświęcania nijakiego nie màs, toś nie święty«.

Przýpatruje ma sie i tak padà.

Powiadali mi: święty Jędrzej, święty Jędrzej! a tu zàden święty Jędrzej, ino jakisi koński złób — haj«. Był — prosem piéknie — trohe na wnuku wydudławiony.

Prasnon go pote na wode i tak se go woda daléj poniesła, jaze go w Saflarak hycili i zawiesieli w kościele — haj.

Co mà wisieć, nie utonie, toz to i święty dojehoł do Saflàr.

Takom to — prosem piéknie — wymyśleli okfiare wielgàm, ino telo, ze jej dokonać nie mogli, bo ta ciek grzészny świętego nosić nie będzie — haj.



XIII.

Haj! te skłanecke niek nie ciskajom — ik miłość — bo to taki stary grăt snadnie przý casie przýdać sie moze — haj.

Niek jom weznom dudomu, abo mnie haw do torby dadzom. Skoda zahubić tego. — Zýntyca bedzie dobrà ś niej. Weźniemy jej ze sałasu. Jaz mi sie jezýk do niéj wyciągną.

Skoda zahubić, bo przý casie i stary grăt przýdać się moze. Já sám wiem nalepiej, ze wse nika nic, a pote jest i przýda sie — haj.

Tozto já stary, a przýdàtek sie — haj z kumosiom Modrzewskom,\*) a tak to wartko było, cok sie z pilności i namýśleć nie móg.

Ràz siedzem se przý piecu nà nàlepie i warzylek se klóski i grzàtek sie przý ogniu. Jaze przýlatuje nadysane kuharcontko od pana Witkowica i zacynà tak padać:

\*) Modrzejowską.

— Sabała, Sabała, zbieràjcie sie pilno.

— Zje, kaz pudziemy?

I dobrze nie barzo ni mogek sie śniom dogàdać, toz to uduktowàtek jej, ze zaràz przýndem, ino sie przewleke, haj.

Toz tok sie jej pozbył na kwile, a tu na drugi dzień znowu je tu — haj. Jazek sie juz wte zebràł, idem co thu, jazek jom zagrzàł, bo ona tak wartko nie była zwyczajnà.

Straśnie mi było pilno, bok sie dowiedziàł, ze mnie ik miłość, kumoter Witkowic, kcom — haj. — Kcom se mnom gàdać. Straśnie mi było pilno — haj.

Straśnie mi było pilno. Zachodzem i pokłonić sie, jako sie patrzy i pytàm sie, co by miało być takiego pilnego.

Zejta pilnego nic, a co jest, to jest — haj.

— Sabała, Sabała, bedzicie mi trzymàć dziecko do krztu.

Zej sie namýslàł nie bedem. Myśliwskie prawo krótkie. Tok pedziàł tak, ze dziecko przýtrzymiem. Inok jesce nie wiedziàł wtore.

Hnetki mi pedzieli, zek miał trzymàć z kumosiom Modrzewskom.

— Prosem piéknie, jako? Znajom jom?

Tak, to ta dryjaternicka wielgà, co kajsi wse za morzem siedzi. — haj.

Jã sie złak strãśnie, bo ta z rzecom takom figlów nie strój, coby sie nie pohabić — haj.

Toz to jã hybãj pilno do nasego jegomościcka i tak mu padãm:

— Przepytujem tãz wasom duhownom osobe i sićke świętości, jakie ta we wãs siedzom, cýby jã tãz ta jako tego dziecka nie przytrzymãt — haj.

My ta drzewieñ rzãdko trzymali, bo brali takik, co nie pili. Jã pił, toz tok dziecisk nie trzymãt, coby sie na mnie nie popoddawały — haj.

I dobrze nie barzo pytam sie jegomościcka, co pedzieć mãm, kie mi przy krzcie sie spytã.

Dãwniej, kie ksiãdz kumotra spytãt sie:

»Zje cegos ty kces od kościoła Bozego?» — to mu pedziãt tak:

»Zej wy ta jegomość lepiej wićcie, boście ucony — haj«.

Toz to i jã sie pytam, jako mã być, cýby jã na uwziãtego nie przytrzymãt tego dziecka do krztu — haj.

»E, dyc przytrzymies, cemuzbys nie przytrzymãt«.

I, dobrze nie barzo, toz tok sie pote naucyt, jako mãm kiedy pedzieć i bytek se juz pote slobodny, bok był mądry — haj.

Pedziãt mi, ze sie ta i bez trzymãnia obeã-

dzie, bo to ta juz był łycok setny, ten mój krzesny — haj.

Jazek sie za łeb hycił i zplupiałek cýsto pieknie.

My drzewieñ i terãz vse w kościele dzieci krzcili, a ja tego krzesnego tok trzymãt w izbie — haj.

Honoruk w kościele nijakiego z kumosiom Modrzewskom ni miał — haj.

Kumosia mie pote strãśnie uracyła. Jeść pote i pić — prosem pićknie — było mnohenko, toz to my strãśnie jedli i pili.

Kumosia mi dała swojom potoprafijom i ja jej tãz, a kie mi sie strãśnie bez niej kotwi, to se jom poboškom — haj.

Tak to — prosem pićknie — ostolek kumotrem — haj. Coz z tego, kiek honoru nijakiego ni miał.



#### XIV.

Niek ino słuhajom — prosem barz pięknie — Drzewiën to my do kościoła mieli straśnie daleko, to my sie do niego hodzić nie naucyli i hodziélimy rãz kielka cãs.

Kie ci gdzie Bócko nagodził, toz to trza było ś nim iść do Cãrnego Donajca, abo ka inyndyj, cýby go jako nie okrzcié — haj.

Toz to był na Buńdowkak taki hłopa, co sié kie dzieci krzcił, ino se case kumoske zmiénił — haj.

Śniegi były straśne w zimie. Przýseł, wzion dziecko, wpakowãł do torby zarucił na ramié i przýpasãł po pod rękę frombijami. Juźci jemu było ciepło — haj.

Jaze raz mu sie tak trafiéło, co go pote zru-ciéli z tego urzędú i nie on juz pote dzieci nosiét i krzciét.

Tak zrobiét :

Kie juz przýseł na Donajec do kościoła, do babińca, wcion ciupage w słup, a dziecko z tor-bom zawiésił na niéj.

Jaze pošli sukać księdza, a našli takiego z brzodom — haj. — Kie sie juz wrócili, kumo-ska zacnie macać, a tu juz dziecko było zimne — haj — zglewiało.

Toz to stało sie jej go luto, jak nie zacnie ręcý zaýmować i biadkać. »Miéty mocny kany. Skoda duse, skoda duse«.

A kumoter jej tak padã:

»Eć dusa, jako dusa, kie uciekla, to jako kciała, hytãł jej nie bedem, ale go szkoda, boby ś niego muzyka był setny, bo miał długie palce«.

I dobrze nie barzo — sprawili mu pote krzciny i pogrzyb — haj. — Ale tego hłopa zru-ciéli z kumoterstwa — haj.



XV.

Nastaly — prosem pięknie — strasznie złe roki — haj. — Nika nic rósć nie kciało, toz to zýcia nie było i głód był wielgi sędy.

Jaze było dwók kumotrów i jeden drugiemu tak padà:

»Wiécie co, kumotrze, jà màm jarzec, a wy macie stajanie prózne, — haj — dajcie mi jedno stajonko, a jà wàm siàcia dàm — haj. — Zasjejmy, urośnie nàm, bo bedziemy przyzierać. Jarzec dobry. Kiby to djascý byli, coby nie urós — haj«.

Jaze mu kumoter tak pada:

»Weźcie stajonko jedno, a mnie na drugie siàcia dajcie. Sprógujemy, cýby nie urosło — haj«.

Kie juz zasiáli i zaskródlili, hodzom i uwazujom, cý jarzec rośnie, ale nie rós, ino takà bièda. Strasznie był płony. Oskradził — haj.

Jaze co sie nie robi, zażrł kumoter, co dał

jarcu, zgniewał sie, ze jarzec kumotrów końdek więkсы od jego, i pedział:

— Bier djable taki jarzec.

Przyseł do domu i strasznie mu smutno było, bo mu jarcu było żal.

Ani żan nie pił, ani go nie jąd, ino zeskradził na żagonie — haj — zahubił sie, toz mu go strasznie luto było.

Ale kie znowa na jarzec poseł zażreć, był juz wielgi, więkсы jak kumotrów. Warto poleciał do domu, wyklepł kose i hybaj kosić jarzec, bo juz był żrały — haj.

I dobrze nie barzo, przychodzi na żagon, poruszył kose i zacion. Jaze wyskocý djabał. Łap mu za kosisko i pada:

— Stój, nie beés kosić.

— A bez co?

— Bo jarzec mój.

— Lo cegos twój, kie jà go nasił?

— Temu, ześ pedział »Bier djable taki jarzec«, toz to jà se go wzion — haj. — Kazałek mu rość i teraz se go bedem kosić, a ty nie — haj.

Wzieni sie za garła.

Hłop, ze był mądry gazdà, djabła sie nie biał. Ale był i tak słabszy od niego. Trzymł sie se tnie na nogak i nie dał sie przewyrtnąć, a strasznie go prał po pysku — haj.

Jaze mu djasek tak padà:

— Wies co hłopie, założmy sie.

— Ja nie od tego.

— Wto na piękniejszej kobyle przyjedzie jarzec kosić, to se go skosi i zabiere — haj.

Hłop przystał, bo co miał robić.

Przyseł do domu, łep zwiésił, jak pies, kie ma zdehnąć, abo kie co pošlakował.

Baba jego smutek użrała, toz to sie go wartko pyta, cegoby taki smutny być miał.

Jaze — dobrze nie barzo — hłop jej opediał, ze tak a tak sie stało. A baba mu tak pada:

— O, dajze pokój, dajze pokój. Zej, do jutra sie jesce nie rãz namyślmy. Hybãj spać ku mnie na pošciel, to se bedziemy ukwalować.

Jak ukwalujom, tak ukwalujom, jaze ukwalili.

Raniutko lémze świt jechãł djasek kosić jarzec na kobyle siwój, talarkowatej — haj — co kwiatek to był na niój iny.

Hłop se ta zaś ino wyjehoł na gołej babie.

Jaz go djaboł użrał i z daleka juz wołał:

— Bier jarzec, koś jarzec, twój jarzec — haj.

Bo ona ta — prosem pięknie wasyk miłości — ta hłopowa kobyla była smysnã — haj. — Tu ka miała mieć grzywe, to jej ogon wisiãł — haj.

Zaś na zadku, ka miał być ogon, to była grzywa — haj.



## XVI.

Była wielgã wolarnia w Singłowcu. Pastérze — prosem pięknie wasyk miłości — mieli sałas pod turniom — haj — a woły w sãtrze.

Jaz co sie nie robi, przyseł ku nim niedźwiedz. Toz to wzion sie wartko do wołów, bo był strãśnie głodny. Ino borówkami uskniętemi żył.

Natrafiel na mocnego woła. Ten wzion go wartko na rogi i podrucil rãz, dwa, ale on wse stawãł i dalej obces brãł sie wołowi do brzuka.

Jaze — dobrze nie barzo — łapi go wół na rogi i przypucyl go do wanty, co mu jaze flaki na wiérk wysly.

On zdek, ale wół, jako wół, głupi był, toz to go dalej przypuconego do turnie trzymãł, bo mu niedźwiedz spadował na rogi, abo na ziem, a wół myślał, ze je żywy, bo sie rusãł.

Tak sie wystãł przy turni i nie jãd nic, ale se go pote, tego niedźwiedzia, wołarkowie zjedli — haj.



XVII.

§eł rãz zbójnik do miasta na zýcie, à miãł téz nakãzane, coby nakupiãł gãrków i kotlików na piãniãdze.

I dobrze nie barzo przychodzi na jarmak i zacýnã obieraã gãrki, ale byã rãd, coby go nie poznali, ze je zbójnik — haj. Ctek byã mãdry, toz to co łapiãł gãrnek, to go nie pukãł, cý zwni, ino hyciãł za kraje i ciãgnie, co mu jaze ocý na wiãrk lazly. Ale on ino tak na despët — prosem piãknie ik miãosci — bo gãrka ozerwaã nie kciãł — haj.

Jaze, co sie nie robi, przyłeciãła baba. U niej rozum krótki, toz to widzi hłopa, jako oźciãgãł gãrnek i prógował go, cý mocny. Toz to i ona kciãła téz tak obieraã, ale na ozajest ciãgnãna i ozerwała dwa gãrki.

Hudobina byã. Ni miãła cým zapłaciã gãrków, bo dudków ni miãła nijakik.

Jaze zbójnik gãrcorza tak zagãdã:

— Ona ni mã płaciã, haj, bo gãrnek byã słaby.

Ale sie gãrcãrz o to nie pytã, poleciaãł do urzãdników. Ci przyšli i zabrali babie ostatniom spodnice — haj.

Zbójnik, ze byã winowaty, kupiãł całe dwa gãrki, zapłaciãł ik, jako sie patrzy i poseł — haj.

Baby mu sie luto stało, przyłeciãł nazãd, sjon kapelus i pytã gãrcorza, coby téz téj kobyle, co jego byã i gãrki przywieszã podzwoliãł na kwilke jutro do niego przyñsiã.

Pada mu tak:

Syn jej u mnie na zimowisku, setny ś niego źróbcok, a bedzie sie jutro zenił. Wesele mu sprawiem, bo mi sie udał i darzý mi sie. Toz to kãzãł, cobyk jego matke pytãł — haj.

— Jã jest pytac.

A gãrcorz mu tak pada:

— Tyś hłopie straśnie głupi. Jã kobyle nie dãm iść na zãdne wesele, bo mi jej trza — haj.

Zbójnik go zaś pytã, coby mu dãł ś niom przegwarzýc dwa słowa. Ona nie zajãc, to nie ucieknie, ani nie sól, to mu jej nie zlizã — haj.

Gãrcorz przystãł na to.

Gwãrzy zbójnik kobyle do ucha dość sprawnã kwilke, a pote podziãkował barz piãknie gãrcorzowi.



— Cożeś jej pedział? he. Cóz ci ona pedziała?

— Ej, mi pedziała, co miała, haj, ze jej nijakim świecie, nie dacie iść na wesele, bo jom strasnie męcycie. Ale kie nie, to nie, — to ona se i tak poradzi. Tu odeńdzie to wesele — haj.

— I poseł ka miał iść — haj.

Za małom kwilke kobyła zaczyła fukać, kręcić ogonom, a praskać zadke, a pote zaczyła tańczyć po garkak i fukać — haj.

Wytańczyła — prosem pieknie, — cýsto pieknie sićkie garki — haj.

Bo ono — prosem pieknie ik miłości — zbójnik był głobiś i kie ś niom gwarzył, toz to zapolił próhno i włożył jej do uha. Toz to piekło jom strasnie, kręciła głowom i wytończyła sićke garki doimentu — haj.

Tak sie — prosem pieknie wasyk miłości — zemścił zbójnik na garcàrzu za biédnom babe — haj.



## XVIII.

Była — prosem pieknie wasyk miłości — na Orawicak wielgà karcma, a w niej sýnko-wała hruba kacmàrka, a hłopa miała nic pote. Siedział sićko przy niej doma, ale sie nie radzi widzieli — haj.

I dobrze nie barzo, strasnie był kujny. Dudki miał w kumorze i strasnie ik kujnie strzég.

I co sie nie robi, zwiedziął sie o nik Wojtek Mateja, tozto hodził i zahodził koło karcmy i kumory — haj — ale ani on, ani towarzyse jego ni mogli zmylić kacmàrza, i co sie do dutków zabierom, to ik odegnali, bo sie zwiedzieli zaraz.

I co Mateja nie robi, tak im napedział:

— Hybàjmy jesce rãz, kiby to byli, ajby byli, siém djasków zjadło, aj zjadło, coby my dudków nie zabrali, kie wiemy, ze som jest i kany.

— Hybàjcie! ja sie bedem brãt do kacmàrki, a wy sie biercie do dudków, bo som jest wielgie w kumorze showane — haj.

I pošli. Jasiak poseł do karcmy. Przyniósł oscypków mnohenko, tóż to uracył karcmarza, karcmarke i muzyków. Ale sie to karcmarzowi nie widziało, toz to strasnie pilnował, coby mu Mateja karcmarke nie boškał — haj.

Wojtek, ze był hłop piękny, widziat sie jej, a karcmarz sie go bał.

Muzyka zacyna grać. Mateja hypnon do tańca, a karcmarke za nim. Bockowała mu.

Tańcom, tańcom, a za tela towarzysowie podkopali sie do kumory. Ale mek ze ściany od kumory podpadował, toz to było ik widno.

Mateja se tańczy, a kie widziat wtorego bez spare, to im śpiewał, jako majom robić — haj. A karcmarz, ani karcmarke sie nie nazdali, zeby ik tak wywieść miał — haj.

Naprzód se zaśpiewał tak:

Oj, tańcuj ze se, tańcuj,

Oj, karcmarecka tustà,

O, bo na jutro bedzie

Kumurecka pustà.

A kie kapelus bez spare dożry, to tak śpiewa:

Ej, shylāj ze se Józek,

Bo ci kałabuk widno;

Ej, jak karcmerz uwidzi,

Bedzie s nàmi biédno.

Zàs kie juz zabrali, co mieli, uciekali, to se im tak nakàzał:

Hej, zbijajcie, zbierajcie,

Hlopý uciekajcie,

Ej, na mnie we wëwozie

W Kirak pocekajcie!

Pote jesce tak zaśpiewał:

Oj, karcmarecka rada,

Ze sie wytończyła,

Ej, ale karcmarz nie rād,

Bo bendzie hojco jād!


I poseł za nimi.

Tak to — prosem pięknie — dokonali swojego — haj,

Mateja był vse strasnie śmiały — haj.



XIX.

jedenj wsi była — prosem piéknie — takà baba strašnie mądrà. Sýćkom prawde wiedziàła, toz to ludziom wróżyła, co wtorego ceka cékà, àbo kie umre — haj.

Nalàs sie hłop, co sie strašnie śmierzci båt i poseł do niéj. Zapłaciét jej dobrze, bo jéj dwie kury dàł, coby mu ino pedziàła, kie umre.

Toz to mu pedziàła, ze jak pudzie do młyna, a wywali sie, to juz po nim, to zaràz umre, haj.

On uwierzył i kie seł do młyna ślizgawica była strasna, juści ràz sie wywalił.

Leży i cekà, kie przyńdzie śmierzć i umre.

Przyłéciàła świnià i zacyna mu worek ze siàciem targać. — Tardze, tardze a on nic.

Jaze kie sie tężéj wziéna do niego i juz owies jàdła, hłop zacón krzyceć na nie — haj, załošnie.

— Je, ksy, pudzies do hléwa! E, myrsino jedna, kieby jà téz hoć końdek zýwy był, dàłbyk ci téz, aj zebyk ci dàł.

Jaze on tak lezàł, a świńsko mu owies cýsto piéknie ozesuło i zjadło — haj.

I co sie nie robi, przyśeł kumoter jego i podźwignàn go i cięsko nie leko mu napedziàł, co uwierzył, ze zýje — haj.

Ale kie du domu przyńdzie, co sie téz ta — prosem piéknie — robiéto — haj.

Babsko miał wielgie i tégie, juźci taka hłopa owładze.

Milońskik biéda zjadła, aj zjadła, namocyla powróz. Trzy dni sie mocyl.

A pote kie ś nim nie zacnie młócić, to sie — prosem piéknie — cudecki robiéto — haj.

Zbiéta go cýsto, piéknie do imentu.

— Ino ty hłopié báb słuhoj, to ci wse źle wyńdzie — haj.

— Jedna ci nagàda bzdur, a drugà cie za to pote rożumu naucý.

Ono, prosem piéknie wasyk miłosci, było za co bić — haj, bo coby hłopu świnià potargàła worek i siàcie ś niego ozesuła, to barzo nie piéknie — haj.

Jà tak uwazujem, ze kaby ta bàba mogła wiedzieć o śmierzci.

Dàwniej to moze wiedziàły, ale one były carownice — haj.

Hłop, to prosem piéknie wasyk miłosci, wse na babskim rozumie źle wyńdzie — haj.

XX.)

Šét rãz — prosem piéknie ik miłosci — budãrz  
na zãrobek do miasta.

Zracno juŹ było, ale ze miãł zaruconom cie-  
šlice i šwider bez ramie, toz to, co krocý, to mu  
šwider o ciešlice zwoni — haj.

Ušłysãła zwonienie šmierzc, co na Baňkow-  
kach, hłopa brała i wyskocýła na dróge jako sta-  
rà baba ku niemu, stowarzýsowała sie š nim  
i idzie doťu drogãmi — haj.

Hłop, ze był mãdry gazda, poznãł zarãz  
šmierzc i myšli, jako sie jej pozbyc mã. — Nie  
wielo myšlãcy, kie przyšli tymcase do Biãtego  
Donajca, sjon hłop šwider z ramieniã i wzion wie-  
rtãc dziure do wierby, pokiela nie wywiertãł,  
a pote zaziãra do niãj.

\*) Bajkã tã spisał juŹ H. Sienkiewicz pt. »Sabałowa  
bajka«, jednak dla lepszego zrozumienia niewãdajãcych  
gwarã góralskã, zmuszony został poopuszcãc rãzne chara-  
kterystyczne, góralskie wyrazy. Tu umieszczona jest w gwa-  
rze. Znana ona jest na całem Podhalu.

— Cego tam patrzýs — pytã sie go šmierzc.

— Kces sie przekonaã, to sama zažrãj. Tam  
na doť widno het prec do šwiatu, a ta mnohenko  
luda, a staryk nãjwiãcýj — haj.

Wyskrobała sie šmierzc na wierbe, zažrała  
do dziury, ale nie widzi nic. Wlazła cała, co by  
jej lepiej było užrãc.

Hłop za tela okrzesał ciešlicom košecek kwar-  
dy ze sãcke, przybiãł š nim šmierzc we wierbie  
i poseł — haj.

I dobrze nie barzo, co sie nie robi, roki  
wielgie lecom, a hłop zýje i zýje. Ludziska prze-  
stali tãz umiãraã i zajaziãto sie od nik w Zãko-  
panãem, w Košcieliskak i na Baňkãkwak i sãdyj,  
ze ctek koło cteka stãł jako smreki w hušcia-  
wie — haj.

Naprzykryło sie, prosem piéknie ik miłosci,  
i hłopu juŹ zýc tele casý, bo go biãda pocãna biã.  
Zarobiã juŹ nijakim šwiãte nika nic ni móg.

Jaze se zbãcyť o šmierci we wierbie, polãz  
do Donajca i odetkãł biãde z wierby.

Jak šmierzc, moi piãkni, nie skocý, jak nie tapi  
kosy, kie nie zacnie kosiã!

W Zãkapanãem, w Košcielisku, w Porominie,  
w Hohołowie i na Donajcu, to telo sie narãz lu-  
dzi wykopyrtlo, co ik ani wto, ani kany ni miãł  
pohowaã.

A šmierc se ino dalej kosi i kosi. Jaze za-

wadzięta kosom o jednym gaździnom, wdowa była, a siedmiorgo siérot u niej w hałupie. Biere jom, a dziecýska w krzyk, co jaze giełcało po halák, tak lamentujom i labidzom:

— Nie bier nám matki, nie bier matki.

Zlutowała sie śmierć nad dzieciami, posła do Pana Boga i tak mu padà:

— Panie Boze mój! ja téj wdowy brać ni mogę, bo jēj dzieci tak placom i lamentujom, ja sama baba i jaze mi sie ik luto stało.

A Pan Bóg jej tak padà:

— Ja ludzi stwarzám, ale ik nie zabiéram ze świata. W tyk rzecak to Pániezus gazda. Idze do Niego i spytaj sie, jako ma być — haj.

Przyhodzi śmierć do Pániezusa i tak Mu padà:

— Panie Jezusicku, jakoz ja mám tom gaździnom brać, kie je wdowa, siedmiorgo ma dziećtek w hałupie, a tak pytajom i lamentujom, co jaze mi sie ik luto zrobięto — haj.

Pániezus prask śmierztecke w pysk, prask w pysk.

— Hybàj — padà jēj — i wocýmieniu przyńiész małom skalke z morzà.

Skocýła śmierć wartko i przyńiesta okrągłom skalke, kolwicek jako hléb.

A Pániezus jej ozkazał tak:

— Gryż skátke!

Gryzie śmierć, gryzie, zębiska jom bolom, jàze przecie zgryzła jom i patrzy.

Jaze co sie nie robi, wnuku mały hrobàcek siedzi i rusà sie — haj.

A Pániezus przýskocýł do śmierzci i prask jom znova w pysk.

— Patrzàjze, kanalija jedna, ja wiém, ka tak małe hrobàcki siàdujom i zýjom i nie dàm im z głodu skapać, a o dzieciak byk zabàcył.

— Hybàj wartko, bier wdowe!

Zabrała śmierć matke, ale sie dzieci wyhowały. Setne hłopàki były; toz to ik sędej radzi widzieli i dobrze im sie powodziło, bo rozum mieli — haj.



XXI.

**R**az było dwók bratów, ino ze jedén był mądry, a drugi strąśnie głupi, co strak — haj. Przýndzie biéda do mądrégo brata, toz to on jom pilno poznàł i posłał jom do głupiego i napedziàł jej i uduktował, ze brat umie lepiej jeść warzyć jak on. Onby jom umorzył — haj.

Przýsła biéda do tego hłopa, co głupi był i osłozyla sie u niego.

Jaze pozdyhało mu sýčko bydło i konie, a nic na zągonie ządnym róść nie kciało. Biéda ząś użry, ze jej nie bedzie miàł dać hłop co zeżréc i nie wiele myślęcý hycieła go pod garło, ścisny-na go mocno i tak mu padà :

— Abo mi dàs jeść i bees sie starał o mnie, abo nié, to cie zadusem.

A hłop jej tak padà :

— Puscàj, bo mie zadusis — i nie zdolem ci odpzedzić. Jakoz jà cie màm żywić, kie nie màm cým.

— Zaràbiaj — padà mu biéda — ale mnie jeść dać musis — haj.

— Idze — padà tén biédàk — do brata, on jest bogaty, to ci jeść dà, kielo bedzies kciała. — haj.

A biéda mu tak padà :

— E, jà haw nie głupià sie rusac. Teleś sie casý starał, to postaràj sie i teràz. Mnie sie nika rusac nie kce — haj.

I dobrze nie barzo, wzion biédny brat flinte, nabiét jom i poseł do lasa, cýby ka co nie upolować. Biéda za nim.

Jaze tazom dtugo, ale nie widzom nika nic, bo jak jaki dzwierz biéde użré, to w uciekaca — haj.

Jaze biéda sie pytà kogo i kielo dzwierzów zabije, a hłop jej tak padà :

— Niedzwiedzie, abo same dzikie świnié bedem strzélàł, bo one majom tustości duzo, to se pojés, haj. A kielo lotków w lufie, to ik telo nabijem.

Głupi był brat, toz to nie wiedziàł, ze na niego z lotkami nie idź, ino z kulkom duzom — haj.

— E, kielos tyk lotków màs — pyta biéda.

— Kces porahować, to zażréj.

Wlázła biéda do lufy i zacýna rahować. Hłop ząś za tela okrzesał kofeček z gałęzie bukowéj

i przybił nim biéde w lufie, haj, i zawiésił flinte na kółku za piecem.

Lecom, roki lecom, a ludziska sie strasnie pobogacili, a tén biédák o mało królem nie ostał — haj.

Jaz co sie nie robi, przýseł do niego brat. Użré strzelbinę za piecem, toz to łapiét jom pilno z kółka i kciał s niej na wiwat wystrzelić. Toz to poleciał do pola i wystrzeliét.

Wartko wytkął prok kótek, a biéde ozsarpało na drobne kawálecki — haj.

Hyciéty sie go sýćkie naráz i zjadły go; były barzo głodne i sýćko, co miały doma, to mu pojadyły — haj — te kawálecki.

Ale biédák sie nie nabliział. Jaze mu sie brata luto stało i kciał go obronić, ale cos, kie i jego biéda zjadła. Kieby był ten mądry brat jescce mądrzejsy, a nie taki wartki i náremny, to onoby było sýćko dobrze, ale cos?

Temu to wej telo — prosem piéknie — biéd na świecie, haj, a co jedna to gorsà, haj. Dàwniej była jedna, ale jom potargało i teraz ik telo — haj.



## XXII.

**P**anowie — prosem piéknie wasyk miósci — som jest nie źli ludziska, ino ze strasnie radzi honor utrzymujom. Oni som jest cegosi strasnie na hłopów krzywi. Ale ja tak uwazujem, ze nie bez co, ino temu, ze teraz lada hłop, lada parobek mlody, juzci bédzie wasy nosiét, kiele mu urosnom.

Drzewień to inacjy było. Panowie ino wasy nosiéli i dziady, co sie włocyły od wsi do wsi, od hałupy do hałupy. Ale tym tak o honor nie sło. Teraz som jest lepsze casy — haj.

Drzewień, jageś seł do Håmer, to siém dya-sków zjadło, aj zjadło, kiebyś był całom droge kápelus w garści trzymał i kłaniał sie przed kazdàm łatkom — haj.

Teraz, jak uwazujes, ze pån jest dobry, tozto mu sie poklonis, jak sie patrzy, jak nie tó nie, to sie obehdzie. Waloru ka tobie ni mà nijakiego — haj.

Teraz som jest pánowie mądrzejsi, a dziwtóry  
to bedzie z tobom barz dobry — haj.

Oj, panowie, panowie,  
Oj, bedziecie panami,  
Ino nie bedziecie  
Przewodzić nad nami.



## XXIII.

**J**à w rzecy stary, ale baby sićkie wse ràd  
widzem.

Raz, co sie nie stało, idem se dogóry źlebem  
i śpiewatek se i grãł, co jaze gielcało po reglak.

Jaze wyskocyla ku mnie skãdsi dziewczka stra-  
śnie piéknã i tak mi padã:

— Hybãjze, siedniemy se na wancie i be-  
dziemy sie bořkać — haj.

Ja jój zař, nie wiele myřłocy, tak padãm:

— Jakoz cie zalubić i bořkać mãm — haj —  
kié ja mãm doma dziewczke. — Za tydzień bedzie  
wesele — haj.

Ono wyjéna cýcki, straśnie długie były, toz  
to se ik pozarucała na ramie i hybãj za mnom.  
Ja uciekãł przed niom, jagek móg, bok sie jój  
bãł — haj — bok poznãł po cýckach zaraz, ze  
boginka była, co w dziurak w uspiskach siãdujom.

Zdysãtek sie straśnie, toz tok ustał, a ona



mie dopadła — haj — i sprąła mie strąśnie temi cýckami.

Uciógek pote, nie zabięta mie.

I dobrze nie barzo, moja sie dowiedziała i sićkie baby i dziewczki — haj.

Raty, przeraty, rady mie téz pote widziały, zek sie z boginkami zadawać nie kciał — haj.

Straśnie mnie wse rady widziały — haj.



## XXIV.

**B**iątek towąrzýsa, co bacował, Maciek z Hrubego był. W Boga strąśnie mało wierzył. Byłek u niego na hali. Toz to kię poednie przýsło, przýgnali juhasi owce do kosára. Straśnie duzom trąwe miały, toz to sie wse hnetki najady, były ciężkie i pilno polęgały.

Kię nie zacnie pies scekać. Tozto pilno patrzymy, wtoby przýść miał. Uwidzielimy dziada. Stårusek był. Do sãtasu przýseł, bo sie go pies nie hycił. Ni miał dla niego wáloru — haj.

Maciek mu tak padà:

— Patrzàjcie, dziadu, cobyk wàm kości nie połamał. Trzy roki tu hodzicie, nicek wàm nigdy nie dàł, a wyście jesce przýšli. Sięmeście dyasków zjedli, ajeście zjedli, kieście przýšli — zacon go psem scuć.

Tozto pies go wartko za portke łapi i ciągnie, a strąśnie wyje harcý, ale ciala sie nie hyciét.

Jaze ja psà zawołał i tak padàm:

— Jã tak uwazujem, coby to dziãd ni miãt być, ino jakisi topielec, abo carownik, abo co.

Moze téz i Pãniezus posãtã kogo, coby przepatrzowãt, jako ludziska gazdujom.

Daj mu syra i zýntyce, dyćeš baca przecie i gazda — haj — a gazde dziady nie zjedzom, ba biãda. Niek sie najé i napijé, zacým sie bryja stodka uwarzý.

Toz tok mu tak napedziãt, ale mie Maciek nie usłuchãt, ino wysmiãt.

Prasnonek pote dziãdowi kãseczek séra, cok go jãd, a on łapiél i poseł jedzécý. Był šlebodny, bok owcãrka łapiél, za kudły przytrýmał i nie sarpał go juz, ino scekał — haj. — Dziãd poseł šlebodny.

Nastały pote hnet strašnie złe roki i nika sie nic siãcia nie nasło — haj. — Owiesek róšć nie kciãt.

Ludzie sićkie bydlęta pojedli i warmuzu sie hycili — haj.

I scyrbãk — prosem piéknie ik miłości — jedli, kieby go ino mieli.

Jã tak uwazujem, ze to abo šwięty jaki był, abo co.

Do niebã poseł i oskarzył Pãniezusowi, jak go sculi po sašasak — haj.

Maciek przejad całe gazdostwo i biãda go zacyna bić strašnã.

Tak ludzi Pãniezus pokãrał — haj — a jã uwazujem, ze za to, bo nãprzód zacyny owiecki kapać i kapać — haj.

Trãwy ni miały nijakiej — haj.



XXV.

§ zliśmy wąskim żlebem, zawalonym olbrzymiemi kamieniami. Na każdy z nich musieliśmy się wspinać, by zeń się zsunąwszy, ponownie na następny się drapać.

Trud był podwójny, bo nietylko strome ściany, miejsca »styrbne«, tamowały nam drogę, ale gęsta mgła przysiadła cały żleb i nie pozwoliła się nam oryentować w tem morzu kamieni.

Sabała, choć trzy razy od każdego z nas starszy, suwał się sprytnie, jak lis, wachając we mgle. To znów wlepił bystre oczy w kamienie, jak gdyby usiłował je poznać i według nich się kierować.

Nagle spostrzegł gruby kłęb mgły, pędzonej od doliny ku szczytom, a zwróciwszy się do nas, tak zaczął mówić:

— Niek — prosem pięknie — siedzom, bo mgły idzie mocki, a zé jom wiatier pilno duje, to jój mu hnetki braknie i ustanie duć — haj.

Popatrzył po nas. Oglądaliśmy się tchórzliwie, chcąc zmiarkować, skąd deszcz najprzód lunie.

Spostrzegł naszą trwogę Sabała, a widząc, że w nim pokładamy całą nadzieję wydobycia się z tej matni, kazał nam powłazić pod olbrzymich rozmiarów granit i czekać.

Sam zaś stojąc przed nami, tak zaczął opowiadać:

— Kazdy ctek, zeby hłop był mądry — to ta prosem pięknie, ni ma takiej biędzy, co by sie jój obronić ni móg. Ino co by miał rozum w głowie — haj.

Raż było dwok kumotrów i strąśnie sie rądzi widzieli, a nika ś nimi nijakiej zwądy na współnictwie nie było — haj.

I dobrze nie barzo, co sie nie robi, przysła na jednego ś nik horość i juz miał umrzeć. Kie drugi nie zanie biadkać i płakać, bo mu sie go luto stało — haj.

Jaze zahodzi do jego hłupy, a tam bek baby i dziecýsk, jaze sie po kątak ozłęgało — haj.

Patrzy, patrzy i użrał djabła, co se whodził do izby na przodku, a janiół za nim na zadku seł — haj.

Toz to pote ozkazował se diasek, a janiół musił w kącie ciho stąć, bo woloru do duse ni miał nijakiego — haj.

Przyhodzi hłop ku niemu i tak mu padà:

— Cý — prosem piéknie — przýšliście mi kumotrà zabrać, cý jako? Jak go bedziecie brać, — haj — to wàs łapiem i sýćkik cýsto, piéknie doimentu na błoto zbijem i powyrucem.

Nie wiedziãł, prosem piéknie ik miłosci, z kim gadãł — haj.

Jaze mu janiot tak padà:

— Jà go ta brać ni moge, bo on nie mój.

— A cýżze je?

— Djabłów.

— E, jakoz wiecie?

— Wiém barz dobrze i ty sãm bedzies widziãł.

Zjé, kie umre, a dusa bedzie ś niego wychodzić, to dyabeł bee przý głowie stãł. — Dyasek se duse weźnie — haj.

Hłop, ze był ctek mądry, dyabła sie nie bãł i poseł do głowy po rozum, a nie ka inyndyj i zacon myśleć.

Jaze dobrze nie barzo, co sie nie robi, liémze na świtanie namiéniało, kié kumoter miał umierać.

Toz to hłop wartko przez noc zrobiëtł pościel na kołowrocie. Pilno kumotra na niom przeruciëtł — haj.

Kié juz — prosem piéknie — śmierztecka przýsła, wte sie dyaboł biere ku głowie — haj — a janiot ku nogom.

I dobrze nie barzo, co sie dyaboł zagramolił i stanon przý głowie, jako ma być — haj — hłop

se ta ino zwyrtnie kołowrote i dyaboł sie przý nogak naseł — haj.

I dobrze nie barzo, kcieli sie na uwziętego przetrzymać, ale hłop kręciëtł i kręciëtł, jaz dyabłowi sie sprýkrzyło, zgniewał sie i uciók — haj a janiot zabrãł duse do nieba — haj.

Ta — prosem piéknie ik miłosci — padajom sićko, ze ka dyascý ni mogom, to babe pošlom, ale jà tak uwazujem, ze ka baba i janiot ni mogom, to jesce hłop poradzi, ino zeby miał scýpte rozumu w głowie, a nie śmieci — haj.

XXVI.

W świącie ruszyliśmy »budką« przez Poronin do Morskiego Oka.

Dzień był jasny i ciepły. Radość malowała się na twarzach kolegów.

Opuszczając wierzch Bukowiny, spojrział Sabata w stronę Swinicy, u której szczytu pokazała się kiść mgły, pokręcił głowę i zawołał na woźnicę, zajętego napychaniem fajki:

— Stasek, popądzajta, jak mozes, cýby jako hociąj do Roštoki przed dyscem nie uciéc.

Ze zdumieniem spojrzeliśmy na starego.

Co on plecie? Wszak pogoda, jak rzadko w Tatrach.

Wjechaliśmy w las, z którego mieliśmy wynurzyć i rozejrzeć się pod samem Morskiem Okiem.

Przewidywania Sabaty spełniły się nad spodziewanie szybko.

Nad wierzchołkami drzew niebo pokrywało się coraz gęściej chmurami. Wnet zaczął drobny deszcz padać, a do Roštoki dotarliśmy już wśród strasznej ulewy.

Nie było można dalej ruszać! Deszcz lał jak z cebra i robiło się chłodno. Mieliśmy miny pokwaszone. Sabata tylko jeden uśmiechał się z pod kapelusza i mruczał sam do siebie:

— A co, nie gadałek?

Weszliśmy do schroniska. Dla rozgrzania się połknęliśmy kilka kieliszków wódki, a wnet pokazał się i kociotek z gorącą wodą na herbatę. Zasiadliśmy zatem prędko koło stołu, zbitego z białych tarcic.

Sabata widząc, że nam nie wsmak dzisiejsza słota, tak zaczął nas pocieszać:

— \*) Dyc to nic — prosem pięknie — bo to u nas tak vse bywá. Dziś tak, jutro inacéj — haj — dziś désc, jutro pogoda.

— Słuhajcie mie teráz, jako im powiem, o naszym Kościeliskak.

Zerwał się szybko, poskoczył do drugiej izby, gdzie na kominie trzaskał ogień, przygrzał się, a wróciwszy usiadł przy nas i tak począł gwarzyć:

— W Staryk Kościeliskak, ka sie skrećá na há-

\*) Spisał W. Brzega.

lom Smytniom jest turnià wysokà, a nazywa sie Pisanà — haj.

Drzewieñ jom inaczej nazywali, ale dzisiak jom panowie przekrzcieli, bo sie tam na tej turni pi-sajom — haj.

Różne ta o niej ludzie gãdki gwarzom, że tam wnuku w tej skale jest stãw, co s niego Donajec idzie, a na tym stãwie pływà złotà kacka, co dy-jamentowe jãjka niesie, ale ino jedno na rok — haj.

Rãz, co sie nie robi, zabrãt sie ta juhas po te kacke, ale nie doseł, bo ta woda strãśnie zimna, a zleb co nim woda idzie, ciasny i ze oma-lucko sie nie utopiãt — haj.

Boginki stãwu strzegom, tozto nikogo tam puścić nie kcom, bo go bałamucom, coby sie s nimi bawiãt — haj.

Mnie zaš pedziãt stary Fakla, co był dziuge porazono, takom gware, ze w tej turni ma byc wojsko zašpione — haj.

Było zaš — prosem piãknie wasyk miłosci — tak.

Rãz przyhodzem do tego Fakli, a tu stary ledwo żywy leży na pościeli. Jã se siednãn na pościeli przy nim i pytã sie go, coby mu brako-wãc miało. A on mi tak padã:

— Miãty, mocny Boze! hłopce, se mnom źle,

Bóg mie pokãrãt i jako widzis, lezem tu juz Ła-zãrz moc roków. Dziecko, tyš młodszy, do świa-tuś, a jã dziš, a jutro.

Słuhãj mie, to ci powiem moje żywobycie. I jã był kiejsi tegi hłop, do rzecy, a miãtek ku-źniom i kułek, co komu było trza. Kowãl był se mnie setny, toz to robotyk miał vse mocki — haj.

Rãz, co sie nie robi, kujem ku wiecorkowi, a tu wãzi do kuźnie jakisi cłek.

Ładnie, piãknie pozdrówieł Pana Boga, toz tok mu odpedziãt i zgłupiãtek, bok sie na niego przýpatrzył i jescek w życiu takiego cłeka nie wi-dziãt. Niby wojak, bo zbroj na nim, broda popas, a głowã ze stali, a gęba takã ładnã, jak u janiõta w niebie.

I, dobrze nie barzo, pytã sie mie, cýbyk mu podków złotyk nie narobiãt.

Jã padãm :

— Cemusby nie, dyćjek od tego kowãl.

I dobrze nie barzo, zacyni my te robote. Jã kujem, on miehe rusã i robota ša.

Narobielišmy podków i kliñcy mnohenko, toz to mój wojãk padã, coby zabrac to sýcko w torbe i iśc s nim.

Dyć padãm mu, cemusby nie, dyćješ cłek i nie źle ci z ocý patrzy. Kie iśc, to iśc. Myšliw-skie prawo krótkie.

Zebrãtek sie. Idziemy. On na przodku, jã zaš

z podkowami na zadku. I tak idziemy przez Kiéry do Kościelisk.

Zachodzimy ku Pisaněj, a on sie do mnie obracà i tak padà:

— Nie bójze sie, a cicho sie sprawuj, a strzez cie Boze nakłóć, kié tam weńdziemy.

Włazimy w jakiesi źleby i dziury, a turnie to jakby sie ozestempowały przed nami. Idziemy, idziemy i zaślimy do nuka.

Patrzem, a tu telo luda, a sićko leży, głowy na siodłak, a sićkie brody som jest dłuzażne po pas — haj.

Jà sie pytam po cihutku, co to za jedni, a wojàk padà, ze to wojsko polskie takie zaśpiàne i ze jak przyńdzie cas, to sie przebudzi, wstanie i pudzie sie bić za wiare, a ze wojna sie pocnie kajsi precki, a skońcy sie na zelaznym mostku w Kuźnicach.

Zacynimy konie kuć. Ja wbijał klifce i podkownik do kopytów zdajał, a on nogi trzymał. A kiek juz sićko, ka co brakowało, ponaprawiał, nabrał wojàk struzyn z kopyt i wsuł mi w torbie i tak padà:

— Màs tu płacom!

Pomyślàtek se, ze kpi se mnie, ale mu sie sprycàł nie bedzies, hoć mi strasnie markotno było, bok cały dzień minon.

Wzionek torbie i wyhodzëcy wysulek te stru-

zyny, ale kiek wyseł na pole, patrzem w torbie, a tu ni ma struzyn, bok nie sićkie wysuł, bo mi sie po torbie obraly, inc som jest dukaty. Było ik kielka.

Kiékbyk był sýćkik struzyn nie wysypàł, byłbyk sie zratował dość godnie, alejek musiał być nie godny.

Pomyślàtek se:

— Dziadowi nie daj konia, ba torbie i kij i posełek.

Zahodzem do hatupy, a baba mie ze zębami przýjena:

— Kaś ty był tele casy, co cie trzy dni doma nie było? — haj.

Nie wiedzàtek, kie tén cas tak wartko przeleciàł, bo mi sie to ino kwilka widziało, ale se myślem: Nie bedem sie z głupiom babom dogadował, bo to u nik włosy długie, ale rozum strasnie krótki — haj.

I kułek pote dalej, to siékiéry, to co sie kany trafieło, jaz tu znowu po kielku rokak przyseł mój wojàk i znowujek mu robiel podkowy, a jak juzek dość narobiel, to my pošli tam ka i pryndzëj. Myślem se, nie bedem ja juz taki głupi. Nie bedem struzym praskàł.

Kujemy. Jà sie ucion w palec — haj — toz tok naklon głośno, a tu co sie nie robi, wstajom

ci na około mnie. Mnie strak obujon. Jeden sie pytã: »Bracie! cý juz cas?»

Ale mój wojãk mu tak padã: »Nie jesce, špij dalej!»

Na mnie sie ostro popatrzał i pogroził mi palcem.

Jak my kuć skończyli, to mi znowa wsuł przygarznie struzýn do torby — haj.

Idem. Kiek wyseł, patrzem w torbe. Kiéło bedem dudków miãł, a tu w torbie trzãski z kopyt, jak byly. Jã sie ozpajédził, bo mi casu było zãł, alek se pote pedziãł: »Zej jã tu bez to dziadem nie bedem.« Wysufek trzãski i poseł. Na Kiérak wskocylek — haj — telęzego do zýda. Wypilek, a kie sie ozór pomaści, to i lekcej hodzi.

I tak wypaplãtek sýčko zýdowi, Zýd ozgadãł po swiecie, cok mu napedziãł — haj.

I teraz co sie nie robi, roki lecom i lecom, a konie nie kute, bo ta teraz bodaś kogo nie puscom, bo musi być taki parobek, co ku dziewkom nie hodzi — haj. Jã za kãre sie zarãz oznimóg i lezem tak juz moc roków. Z Panem Bogiem nie bedzies w karty grãł — haj.

Tak to — prosem piéknie — gadãł mi ten Fakla, a šwiercki to mu ciurecke z ocý leciãły — haj.



## XXVII.

§ Siedzielišmy na werandzie, podziwiając cudny zachód słońca. Wtem spostrzešlišmy wdali na drodze wesoło grającego i śpiewającego Sabãę. Suwał ciężko kyrpcami po błocie, przybijając każdy krok. Doszedł do nas, dograł zaczętã nutę, złożył smyczek na podstawce strun, zdjął kapelus z i powitał nas słowy:

— Pokwãlony!

— Na wieki wieków — odrzeklišmy. — Jak się macie Sabãa?

— E, mnie sie ta vse dobrze wiedzie — haj. Dziecýska mi poza usý nie pãacom, juści ohotã mie zbierã poskãkać. Doma ni moge wysiedzieć nijakim šwiãte. Strašnie mi sie kotwi.

Idem ka ku košciołu. Biédy na mnie ni mas nijakiéj. Roboty doma ni mãm, bo mi zýd ostatniom krowicke wzion na zimowisko.

Ozdãtek sýčko dzieciom, inok se jom ostawił, bo mi sie tak udała. Kielkanašcie roków u mnie



była, alek był zydowi winy, toz to dątek mu jom, coby se jom sprzedał, a jak mu dadzom więcej, jako ja mu winy, to mi dudki da — haj.

Bedzie se koło niej robięt i hodził, a ja nic. Ja ślebodny.

Hudobina markociła se, kie mojom sope opuścić ję przysto, alek ję przygrał — haj. Orawskiego przygrątek ję końdek, coby nie becała. Smutno ję strasnie było — haj.

To mówiąc, podniósł smyk z podstawka, popróbowwał dźwięku strun, nadstawiając znawczego ucha. Pokręcił kołków, popróbowwał znów i począł grać Orawskiego marsza:

(Melodya Nr. 6).

Oczy zwykle zamglone, zabłyśły ogniem na chwilę. Ostatni akord dograł fortissime i przeciągle; usiadł na kłodzie, opuścił głę na kolana i tak mówił:

— Trohek sie — prosem pięknie ik miłości, zasatał — haj — bok se zbacył, jako my to grali i śpiewali te note i watre wielgom kładli, a hipkali bez nie.

Ale to juz — prosem pięknie — było w te, kie dźwierz lezał — haj — zabity. No, bo juści zwyczajnie nie bedzies grał i gadał »hop!«, jaz przeskocys.

No to i niedźwiędz cie moze poratować łapom

godnie, tak, co ci ani smarowacki trza nie bedzie, ba kieby ka była jakà truchła — haj.

Tak on cie moze poratować łapom godnie.

Toz to mý sie tak najedli, napili, a pote se zaśpiewali, zagrałek, toz to hipkali strasnie — haj.

Pote my pošli do Luptowa, cýby dutków nie nãńś ka jakik, boby nam sie były strasnie przydały — haj.

Roki wte — prosem pięknie — były strasnie zte — haj. — O, barz były zte — haj.



## XXVIII.

Jak to już z przytoczonych opowiadań i pieśni Sabaly widać, był on postacią typową, niezwykłą i ze wszech miar oryginalną.

Znakomity improwizator nie tylko w opowiadaniu, ale i melodyi, postaci wyniosłej. Miał rysy twarzy ostre, wyraziste i rysujące się na zawsze w pamięci. Słusznie Sienkiewicz w swojej »Sabalowej bajce« przyrównywał jego twarz do Miltońskiej, a postać do starego sępa.

Ceniony i lubiany był przez gości powszechnie. Jedni radzi z nim chodzili, bo się nigdy nie nudzili. Nie wiedzieli nawet, kiedy odbyli najtrudniejszą wycieczkę, przeszli najstęrbniejsze miejsce.

W pogodę napawały oko turysty zachwytem widoki tatrzańskie. Kiedy jednak nagle mgła zasiała całe przestrzenie i widnokrąg ograniczyła do koła o jakich dwóch tylko metrach średnicy, wtedy pocieszne, rubasznie-jowialne opowiadania Sabaly były nieocenione. Odwracały uwagę od nie-

bezpieczeństwa i niewygód, a stosownie wybrane i zastosowane, nadawały otuchy i wytrwałości.

Kiedy się kto wsłuchiwał w te epizodyczne opowiadania, akcentowane umiejętnie miejscami, do których tło rysował rękami w powietrzu, głową i gestami, zapominał nieraz, że to Sabala opowiada.

Zdawało mu się, że mu ktoś czyta proste i naiwne opowiadania Odysseusza.

Inni goście zakopiłańscy znowu, widząc, że Sabalę szanują, cenią i goszczą: Chałubiński, artyści i literaci, zapraszali go również do siebie, i brali ze sobą na przewodnika.

Zaprosiny takie skutecznie zapomocą biletów wizytowych.

To też trudno się było nieraz wstrzymać od śmiechu, gdy Sabala nazbierał tych biletów kilka, a nieraz nawet kilkanaście, a powtykawszy je do okoła kapelusza poza kostki, szedł ku Kościelisku, śpiewając sobie i grając po drodze.

Każdy, kto go spotkał, kręcił nim, jak kołowrotem odczytując ową proskrypcją ludzi, nawet niekiedy bardzo wybitne stanowisko zajmujących, którzy skazywali się dobrowolnie na przyjmowanie i goszczenie staruszka.

Pewnego razu wracał późnym wieczorem z wycieczki.

Wtem zabiegła mu drogę Warszawianka. Za-

częła zapraszać, więc wstąpił, bo zaproszeniu odmówić byłoby nie »pięknie«.

Wnet mimo spóźnionej pory pozapalały jej córki świece i rzuciły się do bloków i nuż szkicować węglem siedzącego starca.

Lecz on obyty już z tego rodzaju męczeństwem, jakie sprawia pozowanie, spostrzegł zaraz co się święci, a gdy jeszcze się przekonał, że nie »wielgimi sprzętami,« ale węglem go malują, tak począł mówić:

— Prosem pięknie panicek — dajcie pokój! Nie trza, nie trza. Mnie ta juz duzo razy malowali — haj. Mieli wielgie przyrządy i sprzęt setny, — Scoteckami mie malowali — haj.

Wielgie mieli przyrządy i przyprawy i sprzęt setny.

Ale to biéda, bo kiebyś im strażnie cihutko siedział, a ja tego nie rád widzem. —

Kiedy zaś matka panien, zgarbiona staruszka, zaczęła mu wspominać, że już bardzo dużo przeżyli oboje i już czas im myśleć o innym mieszkaniu na innym świecie, tak jej powiedział:

— Toz to — prosem pięknie ik miłości — to samiutko mi moja baba sićko po za usy tyrlikała, pokiela była zdrowa — haj. — Ze juz trza koło Pániezusa zajédzdać — haj.

Ale ja haw nie taki wárcki. Jáby sie naprzykrzać Pánu Jezusickowi hańbiéć.

Jà umiérł jesce nie bedem, o dusne zbawienie sie nie stráham.

Jà ta mám kajsi w niebie matke, dziadka, he, i babkà tam téz. Oni mie strażnie radzi widzieli, bok był parobek do rzecy — haj.

Zje, kizby oni ta dyascy robiéli w niebie tele casy, coby oni mi ta nie zrobiéli jakiego miejsca — haj — coby mi nie uprzátnéni ka w kąciku, abo za piecem w niebie.

Jà nie przekłaśny, ja i pod ławám bede leżał, coby ino w niebie.

Oni mi zrobiéli miejsce — haj — bo oni mie barz radzi widzieli. O, oni mie radzi widzieli, haj.

\* \* \*

Sabała umarł w roku 1894 dnia 8 grudnia w domu prof. Uniwersytetu Jagiellońskiego Dra Kleczyńskiego, u WP. Lilpop z Warszawy.

Żył lat 83. Pogrzeb miał wspaniały, a oprócz reprezentanta Towarzystwa Tatrzeńskiego, przemawiali nad jego grobem jeszcze i inni delegaci.

Maska zdjęta zaraz po śmierci, zachowała jego szlachetne rysy.

Nie przesadzę wcale, gdy go nazwę bardem ludu podhalskiego. Jego piosnki, powiastki i melodye są dla nas arką przymierza, łączące dawne, minione bezpowrotnie czasy, z teraźniejszymi.

Przędza jego opowiadania, snuta oryginalnie z bogatej wyobraźni, dała nam jakie takie pojęcie o życiu ludu górskiego w dawniejszych czasach, kiedy tu jeszcze nie zaczęli zaglądać badacze przyrody, turyści, chorzy i zanim Zakopane stało się wreszcie letniem mieszkaniem Polaków.

Dziś na cmentarzu zakopiańskim znajdzie turysta dwie opodal siebie leżące, skromne mogiły Chałubińskiego i Sabały; dwóch ludzi, których serca tak silnie ukochały Tatry i wszystko co nasze, tak żywo i wesoło były dla nich.

Pamięć o nich nie zaginie, póki to państwo podniebnego orła zwiedzać będą goście i szukać tu wytchnienia po pracy całorocznej.

Gwarę dwóch mogił zrozumie kiedyś zimna dla poezyi ludowej ludzkość, oceni należycie, a zebrawszy wśród górali okruchy tego, co Sabała czuł, opowiadał i grał, przyswoi sobie, uszlachetni i zawtóruje kiedyś hałnemu wiatru, co ponad ich mogiłami śpiewa wiosną i jesienią starą Sabały piosnkę tak silnym głosem, iż trzęsą się od niego w swoich posiadach drewniane chatki góralskie.

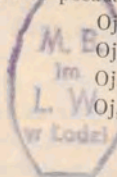
Oj, zahucąły góry,

Oj, zahucąły lasy,

Oj, ka sie popodziały

Oj, nase dawne casy.

(Melodya Nr. 7).



Alfabetyczny

## SPIS WYRAZÓW I OBJAŚNIEŃ.

B.

Baca — najstarszy pasterz w szalasie.

Baczyć — pamiętać.

Bańkowki — Poronin.

Bania — kopalnia żelaza.

Bartek Obrochta — słynny zakopiański grajek  
i przewodnik (str. 35, wiersz 8).

Barz, barzo — (czyta się osobno r, a osobno z)  
bardzo.

Bez co — dlaczego.

Bez — przez.

Boskać — całować.

Bockować — tańczyć po góralsku, kołować (tylko  
o kobiecie).

Bodaś kogo — bądź kogo.

Brzyćko — brzydko.

Bryja — mleko słodkie, gotowane z małą domie-  
szką mąki.

Budka — wózek góralski, kryty płótnem.

Bukowiec — opalony, gruby bukowy kij owczarski.

Budarz — cieśla.

## C.

- Ciskać — rzucać.  
 Cieslica — topór.  
 Ciupaga — toporek do podpierania się.  
 Cesta — droga.  
 Cosi kajsi — coś gdzieś.  
 Cucha — gunia góralska.  
 Cudecki — cudowne rzeczy.  
 Cýsto piéknie — zupełnie, ze szczętem.  
 Cýsto piéknie — ładnie.  
 Cýsto piéknie do imentu — zupełnie a zupełnie.

## D.

- Dać radę — pokonać.  
 Darzyć się — wiedzie się, dobrze się chowa.  
 Dobrze nie barzo — przysłowie Sabaty.  
 Doma — w domu.  
 Do imentu — zupełnie, całkiem.  
 Dźwierz, dźwierzyna — zwierz, zwierzyna.  
 Dziwtory — niektórzy.  
 Dziuge być porazony — mieć porażony stos pa-  
 cierzowy i chodzić krzywo.  
 Dyascy — dyabli, szatani.  
 Dyasków zjadło — lekkie przekleństwo.  
 Dyle — podłoga.  
 Dudomu — do domu.

## F.

- Frombije — troki torby do przymocowania jej.

## G.

- Gaździna — gospodyni.  
 Gazda — gospodarz.  
 Gićceć — rozlegać się.  
 Głobis — łobuz.  
 Godnie — dużo, dobrze.  
 Gromada — zebranie gminne, wiec.

## H.

- Habryka — tytoń. (Górale nie wymawiają nigdy ch).  
 Hala — łąka góraska.  
 Haj — tak, przysłowie Sabaty znaczy: ino, tak.  
 Kładł on je często w środku zdania.  
 Hańbić — wstydzić.  
 Hawrańy — gawrony.  
 Harnaś — dowódca bandy zbójckiej.  
 Het — zupełnie.  
 Hnet — wnet.  
 Hnetki — prędko.  
 Hip, hipnemi — skoczyli.  
 Hrubasny, hruby — bardzo gruby.  
 Hojco — byle co.  
 Hrobocek — robaczek.  
 Hlop — silny mąż (łacińskie vir).  
 Hławka — główka.  
 Hybaj — chodź, dalej.  
 Hycić — chwycić.

Hudobino — biedaczka.  
Huściawa — gęstwina.  
Hubka — gąbka.

## I.

Ik — ich.  
Iment, do imentu — zupełnie, ze szczętem.  
Ino — tylko.  
Iny — inny.  
Inyk — innych.  
Inyndyj — indziej.

## J.

Jamioł — anioł.  
Jarka — owca młoda, która jeszcze nie miała ja-  
gnięcia.  
Jarzec — jęczmień.  
Jaworzynka — hala nad Kuźnicami.

## K.

Ka — gdzie.  
Kaby ta — gdzieby tam.  
Kany — gdzie.  
Kanalia — (przekleństwo) szelma.  
Karby — deszczułka karbowana, znak puszcza-  
ny po gminie, zwołujący wiec.  
Kapać — zdychać (o owcach).  
Kaz — gdzież.  
Kiebski — lichy.

Kieby — gdyby.  
Kie — kiedy.  
Kiek — kiedym.  
Kłabuk — kapelusz.  
Kliniec — gwóźdź o dużej głowie, do przybijania  
podków.  
Kłoski — sapka góralska.  
Końcem — koniecznie.  
Końdek — troszkę.  
Kolwicek taki — podobny.  
Kolwicek — podobnie jak.  
Kosisko — drzewce, na którym osadzona kosa.  
Kosor — miejsce ogrodzone, gdzie owce się za-  
myka do dojenia i na noc.  
Kotwić się — nudzić się.  
Króźliczek — toczony pudełko drewniane na masło.  
Krzywań — Krywań.  
Kwardy — twardy.  
Kudlāk — zwykle poduszka z sierści, tu znaczy  
kudłaty pies. (str. 60, w. 2).  
Kuharka — w ogóle służąca.  
Kyrpce, krypcie — chodaki góralskie.

## L.

Labiédzić — narzekać.  
Łewdy — ledwie.  
Lémze świt — skoro świt.  
Leki — lekki.

Łejba — wyraz góralski użyty przez Chałubińskiego, ulewa.

Liptacy — Słowacy zamieszkujący Liptowską dolinę.

Lo — dla.

Lotki — drobne kawałki żelaza, lub drobny szrut do nabijania strzelby.

Luto stało — żal zrobiło.

Luto — żal.

### Ł.

Łapić — złapać.

Łatka — pogardliwa nazwa pana.

Łap — chwycił.

Łycok — podrostek.

### M.

Madre rusyc — rozchorować się podobno na nyrki.

Mek — mech.

Mieć mature — mieć ochotę.

Miasto — Górale nazywają Nowytarg »miastem«, jak Rzymianie Rzym urbs.

Mnoho — mnogo.

Mnohenko — bardzo dużo.

Moskâl — placek owsiany.

Mocki — dużo, mnóstwo.

### N.

Nálepa — pokład kamieni przed piecem góralskim, powleczonej warstwą błota. Na nim można było

także ogień rozpalic; najczęściej służyła nalepa do wygrzewania się starym.

Nablizać się — zbliżyć.

Našli — znaleźli.

Naiśc — znaleźć.

Na ozajest — na prawdę.

Nalaz — znaleźli.

Napedzić — napowiedzieć.

Na przodku — na przedzie.

Na zadku — w tyle.

Na wnuku — wewnątrz.

Nadać — nawinąć się (dyascy nadali).

Naremny — gwałtowny, krzepki.

Nigda — nigdy.

Nijakim swiate — w żaden sposób.

Nimoze — jest chory (str. 67, w. 18).

Niescście bedzie strasne (str. 68, w. 3) przesąd.

Nicpote — do niczego.

Nocnik — nocleg.

Nukać — prosić.

### O.

Oblanka — włóczka do obramowania cuhy krajem, lub wyszycia ozdób na spodniach.

Oćwiara — potwór.

On — używa Sabała zamiast: niedźwiedź.

Oskradzić — zeschnąć na korzeniu przed zakwitaniem (o zbożu).



Oscypek — serek podłużny.  
 Owładze — owładnie.  
 Ozlégać — rozlegać (o echu, nieść).  
 Ozpajédzić — rozezłościć.  
 Oznimódz się — rozchorować się.  
 Ozpaliéta — rozpaliła.

## P.

Pàn wielkomożny — Chałubiński.  
 Pàniezus — Pan Jezus, (razem złączone dwa wy-  
 razy i razem odmiennie).  
 Padać — powiadać.  
 Pedzieć — powiedzieć.  
 Parobek — młodzieniec, elegant.  
 Patrzyć — także należeć się.  
 Pilno — szybko.  
 Pięć sostek — 50 ct. należące się organiście za  
 odegranie »Veni Creator« (XI, str. 67).  
 Po wiérhu obuwać się — przywijać dół spodni  
 pod onucki, a potem obwijać rzemykami.  
 Ponieść się — także pospieszyć.  
 Popśnić się — nieszczyć się, nie wieść się.  
 Potela — potąd.  
 Potelàz — potąd, dotąd.  
 Poleku — pomału.  
 Pote — potem.  
 Pobrusiét — poostrzył.  
 Pokiela — pokąd.

Pościel — u górali także łózko.  
 Prosem pięknie ik miłości — przysłówie Sabaly.  
 Prok — proch.  
 Prógować — próbować.  
 Prah — proch.  
 Przepytować — przeproszać.  
 Prec — daleko.  
 Przednowek — czas wiosenny i letni, zanim się  
 młode ziemniaki urodzą.  
 Prasnąć — uderzyć, rzucić.  
 Przewyrtnąć — przewrócić.  
 Praskać zadke — wierzgać tylnymi nogami (o koniu).  
 Przodke — przodem.  
 Pryndzėj — przedtem.  
 Przygarznie — garść.  
 Przekłaśny — wybredny.  
 Pytac — jeden z dwóch družbów proszących na  
 wesele.  
 Pytać — prosić.

## R.

Ràz kiela càs — od czasu do czasu.  
 Ràd widzieć — lubieć.  
 Rezać — rznąć.  
 Regle — lasy na stokach gór.  
 Rzeźba — nazywają często górale Szkołę rzeź-  
 biarską w Zakopanem.  
 Ruka — ręka.

## S.

- Sa — sie.  
 Sàtra — szalas z desek lub gałęzi.  
 Scyrbàk — roślina o szorstkich, rąbkowatych liściach.  
 Setnie — tego, dobrze.  
 Serdàk — kozuszek bez rękawów.  
 Se — ze.  
 Selenie — różnie, seleniejaki — różny.  
 Sedyj — wszędzie.  
 Sidziniarka — dewotka ze sekty tegoż nazwiska.  
 Siedzieć — także mieszkać.  
 Siàcie — zboże.  
 Sjónek — zdjęciem.  
 Składak — kozik.  
 Skàła — kàmyk.  
 Skapać — zniszczyć (o owcach) pozdychać.  
 Smyšny — ciekawy.  
 Smrek — świerk.  
 Sprawny — duży.  
 Sprzècać — sprzeciwiać, kłócić.  
 Strzég — strzegł.  
 Stowarzysyc się — zaprzyjaźnić się, połączyć się.  
 Stowarzysować się — zawiązać przyjaźń.  
 Stać się luto — stać się żal.  
 Sýcko — wszystko.  
 Štyrbać — piąć się po czemś stromem.  
 Štyrbny — stromy, spadzisty.

- Šlebodny — swobodny.  
 Šklànka — flaszka.  
 Š nim — z nim.

## T.

- Temu — dlatego.  
 Telęzego — trochę.  
 Tozto — też.  
 Tóz to — to też.  
 Telo — tyle.  
 Turlikanie — dźwięk podłużnych blaszanych dzwonek, zwanych kłapacami.  
 Truhla — trumna.

## U.

- Uciók — uciekłem, uciekł.  
 Ucion — okaleczył.  
 Udukwować — upochlebiać, obiecać a nie dotrzymać.  
 Ukwàlić — namyśleć się.  
 Upiók — upiekłem, upiekł.  
 Uradzić — postanowić.  
 Uwazować — także myśleć.

## W.

- Watra — ognisko.  
 Wanta — także kamyk.

Wierba — wierzba.  
 Wiercić — wiercić.  
 Wereda — przekleństwo.  
 Wielki — wielki.  
 Wiersek — wierszyczek.  
 Widzieć się — podobać się.  
 Winowaty — winny.  
 Wolor mieć — mieć prawo do czegoś.  
 Wocimieniu — w okamgnieniu, szybko.  
 Wse — zawsze.  
 W rękach — w rękach.  
 Wte — wtedy.  
 Wtore — które.  
 W rzeczy — niby to.  
 Wnuku — w środku.  
 Wto — kto.  
 Wej — oto.  
 Wyskanie — odzywanie się hop, hop! juhasa lub juhaski.  
 Wysłó — zeszło (str. 45, w. 16).  
 Wyrzucić się — wyrwać się.  
 Wykapać — wyzdychać (o owcach).  
 Wynikrót — »Veni Creator«.  
 Wydudławiony — wyżłobiony.  
 Wywalić się — upaść.  
 Wykopyrtnąć się — wywrócić się, upaść.

## Z.

Zaścypka — rodzaj paspalu we szwie przy góralskich spodniach.  
 Zajęzdać — kręcić się, starać się o co.  
 Zaworka — rodzaj klamki, która bez sprężyny, jedynie ciężkością swoją wpada w karb i w ten sposób trzyma przywarte drzwi.  
 Zabąć — zapomnieć.  
 Zaluścić — pokochać.  
 Zahubić — zniszczyć.  
 Zaskrodzić — zawlec.  
 Zateła — tymczasem.  
 Zazająć — zastawić się, o wodzie lub o ludzi, o owcach, gdy nie mogą wszystkie na raz przejść.  
 Zdajać — dopasowywać.  
 Zdoli — obejmie, zdoła znieść.  
 Ze zadku — z tyłu.  
 Ziéna — żona.  
 Żbyrcić — dzwonić.  
 Zbijać — zbojować.  
 Zdek — zdechl.  
 Zracno — widno o tyle, że już przedmioty dają się odróżnić.  
 Zrały — jrzaly.  
 Ziém — ziemia.

Zglewiały — (str. 17, ostatni wiersz) może strę-  
twiały, bo zglewiały znaczy zmarzły.

Zglewieć — zmarznąć.

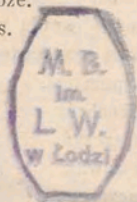
Z końca — także z początku.

Zwysić się — zbywać.

Zýcie — żywność, zboże.

Zýwobycie — życiorys.

Żleb — wąż.



197255

\*KSIĘGARNIA\*  
ANTYKWARIAT

200-

DOM  
KSIĄZKI  
DOM

782979 E  
XXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXX

Wymiar  
200,  
X

WIMBP Im. J. Piłsudskiego  
w Łodzi



230000105931

206